

Wies

tygodnik społeczno-literacki

Rok X

Warszawa, dn. 22 lutego 1953 r.

Nr 8 (354)

Ze wskazań Bolesława Bieruta

„Nie ma dziś, nie ma w życiu obecnego naszego pokolenia zadania ważniejszego nad rozbudowę naszego przemysłu, nad przebudowę naszej zaoferowanej, rozdrobnionej gospodarki rolnej, otrzymanej przez nas w spadku po kapitalizmie, w gospodarce przodującą, opartą o nowoczesną technikę, o zdobycze nowoczesnej nauki, w gospodarce o najwyższej wydajności pracy, na jaką pozwala dzisiejsza wiedza, na jaką pozwala doświadczenie gospodarki planowej, gospodarki socjalistycznej, o jakiej mówią nam porywające osiągnięcia narodów radzieckich, ich wzór, ich przykład, ich zwycięstwa.“

(Z przemówienia na Krajowej Naradzie Aktywu POM dn. 5 marca 1952 r.)

„Nie potrafimy przewyższyć trudności, które się wyłaniają w naszym budownictwie planowym, jeżeli nie przyswoimy sobie głęboko wytycznych nauki towarzysza Stalina o konieczności ściślejszego sprzęgnięcia naszej gospodarki rolnej z przemysłem socjalistycznym, o konieczności likwidacji różnic na wsi wyzysku. Jedyną drogą do tego celu jest rozwój spółdzielczości produkcyjnej.“

„Nie można, towarzysze, myśleć poważnie o budownictwie socjalizmu, jeśli go się nie będzie budowało zarówno w mieście jak na wsi. Nie można budować socjalizmu na wsi, jeśli się zaniedbuje pracę i wysiłki w dziedzinie rozwoju spółdzielczości produkcyjnej w chłopim rolnictwie drobno - towarowym. W jakimś inny sposób można przejść od zaoferowanych metod uprawy w gospodarstwie chłopskim do wielkiej gospodarki zmechanizowanej, opartej na najnowszych zdobyczach nauki i techniki, na wysokiej wydajności pól? Jest tylko jeden sposób — rozwój spółdzielczości produkcyjnej.“

(„Nasze najbliższe zadania“, Nowe Drogi, Nr. 1-2, z 1952 r.)

„Musimy jasno zdawać sobie sprawę, że opór i walka elementów reakcyjno - kapitalistycznych przeciw ruchowi spółdzielczości produkcyjnej w miarę coraz szerszego rozwoju tego ruchu nie będzie słabnąć, lecz — na odwrót — będzie się zaostrzać i przybierać coraz zacieklejsze formy. Jest to zrozumiałe, jeśli zważymy, że spółdzielczość produkcyjna jest najbardziej rewolucyjnym ruchem, jaki przeżywały kiedykolwiek masy chłopskie.“

(„Istota sojuszu robotniczo-chłopskiego na obecnym etapie“, Nowe Drogi, Nr. 5, z 1950 r.)



ZYGFRYD SAWKO

Do dziewczyny z gromady Łuniewo

W gromadzie Łuniewo powstała spółdzielnia produkcyjna. Jest to 35. spółdzielnia w powiecie Leszno (woj. poznańskie).

Co czujesz, Mario Krasner, gdy w Łuniewie z uśmiechem kładziesz pod statutem podpis — piętnasta z rzędu?...

Nie znam cię i nie wiem, co czujesz w sercu, Mario. Widzisz, chłopcy wyprowadzili — w dniu narodzin nowej spółdzielni. Kładziesz podpis — opasana fartuszkami, w chustce zwykłej dziś na głowie... I taką ciebie sfotografowano.

Na pewno wierzysz, że żyć będzie łatwiej. Złożyłaś podpis. W górę oczy podnieś. Do Zjazdu Krajowego delegatów zostało już spółdzielcom dwa tygodnie. Tak uroczyste witasz ich obrady.

Przeglądam prasę. Na naczelnym stronie twoje zdjęcie. Pod nim napis: Maria Krasner jako piętnasta podpisuje statut.

Przeglądam ci się, Mario... Uśmiech jasny, mów mi: — Pierwsza w pracy chcę być za to, Fartuszek w kwiaty, chustka... głowę podnieś, bym poznał ciebie na następnym zjeździe, gdy jako przodownica przyjedziesz.



BOGUSŁAW GAŁĘSKI

CZTERY LATA NASZEGO JUTRA...

Gdy na jesieni 1949 r. pierwszy 136 spółdzielnia produkcyjnych przystępowała do wspólnego siewu — nie można było tego uważać jeszcze za początek poważnego ruchu, który stał się mógłby dla państwa ludowego punkt oparcia na wsi w decydującym o kierunkach problemów gospodarki narodowej.

136 wysepek otoczonych zewsząd niespokojnym, wyrwającym się spod wpływu gospodarki planowej, żywiołem indywidualnych gospodarstw chłopskich... 136 słabych jeszcze i mało uzbrojonych przyczółków, na których kulak koncentrował mógł atak. I hulała plotka i pogłoszka, wpływał na nierozumiejących jeszcze indywidualnych chłopów, lub dywersyjnie przekłamał do spółdzielni, usiłując zniszczyć kiełki nowego życia, które zwiastowało jego nieodwołalną zagładę.

Trzeba było wiele odwagi, aby stanąć, jak to uczynili pierwsi grupy członków spółdzielni, do walki o socjalistyczną gospodarkę rolną wbrew niechętni lub co najmniej biernie przyglądającej się ogromnej większości wsi. Trzeba było wiele zaufania do partii i rządu, wiary w siłę i pomoc klasy robotniczej. Trzeba było umieć patrzeć w przyszłość, aby w nikłych jeszcze początkach zobaczyć jutrzejsze miejsce na wsi, jutrzejszą wagę w gospodarce narodowej. Znaleźli się jednak chłopcy, którzy mieli dość odwagi i zaufania, którzy potrafili dojrzeć swoje jutro. Byli to chłopcy ze spółdzielni osadniczo - parcelacyjnych, którzy wbrew nakazowi zawartemu w statucie, wydanym przez przeżarte gomulkowszczyzną Ministerstwo Ziemi Odzyskanych, nie chcieli wrócić do indywidualnego gospodarowania. Byli to farnale z rozparcelowanych obszarów majątków w powiatach Kościan, Śrem i Gniezno, którzy nie podzielili ziemi otrzymanej z reformy rolnej, ale gospodarowali wspólnie według stworzonego przez siebie regulaminu. Byli to stare KPP-owskie komórki z Wilkowie, Dankowice, Kodeńskie i innych wsi, które na pierwszą wieść o spółdzielczości produkcyjnej ruszyły, aby stanąć w pierwszych szeregach nowej gromady. Oto pierwsi żołnierze w socjalistycznej rewolucji na wsi.

Nie wychuchane były te pierwsze spółdzielnie, wbrew kolportowanym przez kulaka plotkom. Instruktor CRS, fachowy doradca agronom, owszem, przyjeżdżał, ale też szybko odjeżdżał. Pozostawiała natomiast za sobą wieś, poruszona regulacją gruntów, pozostawiała korzystając z każdej słabości wroga, pozostawiała wreszcie żrącą i tych najbardziej zdecydowanych — chłopską niepokojność, przedłużającą przez pokolenia nawyki w gospodarowaniu „sobie“ i na „swoim“, choć faktycznym dysponentem tego „swojego“ był wówczas obszar, kula, bank, handlarz i sklepikarz.

A przecież oprócz tej walki z niechęcią sąsiadów i z wrogiem, oprócz walki z samym sobą, trzeba było biec się z własnym niedoświadczeniem na wielkim gospodarstwie i z niedoświadczeniem tych, co pomagali rozwiązywać zagadnienia nowe i szczególne, ze słabością, a często i oportunistycznym, aby mieć siłę odrzucić zbyt precyzyjną pomoc tych czy innych „dobroczyńców“, którzy często dobrze chcieli, ale jeszcze częściej nie umieli dobrze pomóc. Trzeba było walczyć, licząc przede wszystkim na własne siły, bo przemysł nie stanął jeszcze mocno na nogach, jeszcze to wszak była Polska rolnicza...

Co prawda w tym samym roku 1949 kończyła się już ośmioletnia wojna zbrojowa, rozpoczynał się jego szybki rozwój, który w kilka lat później przemienił nasz kraj z rolniczego w przemysłowy. W tym okresie jednak Polska była krajem, który zaczął dopiero pokonywać dawne zacofanie, biedę i bezradność i przemysł dopiero nabierał rozpędu, aby móc naszkicować wielkiego sojusznika — Związku kadzieckiego.

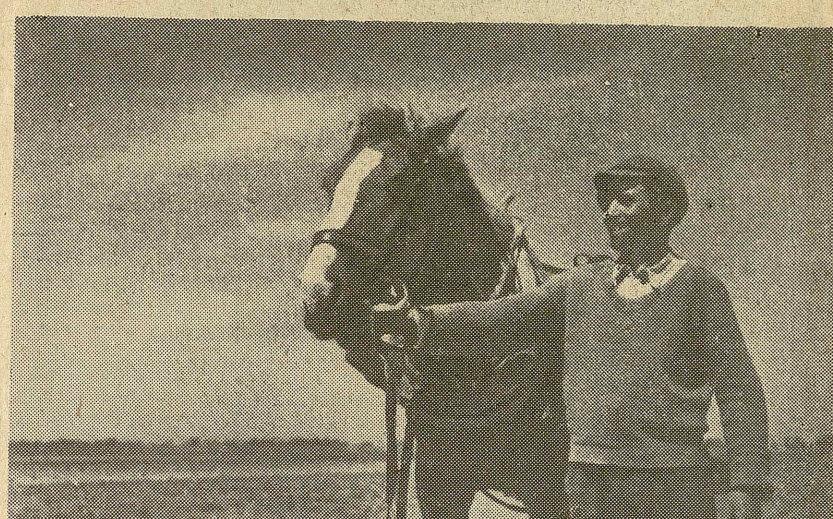
Wraz z szybkim rozwojem przemysłu narastała poczucie dysproporcji między układem socjalistycznym w gospodarce narodowej a układem kapitalistycznym i drobnotowarowym na wsi, opartym na prywatnej własności środków produkcji. Już w tymże roku 1949 produkcja wielkiego i średniego przemysłu w przeliczeniu na 1 mieszkańca wzrosła o 150 procent w stosunku do produkcji przedwojennej, podczas gdy produkcja rolnicza powiększyła się tylko o 19 procent. Szybki wzrost przemysłu i nienadążanie za tym wzrostem indywidualnej wsi zaostrzyły dysproporcję w latach następnych. Jeżeli przyjąć r. 1949 za 100, to w r. 1950 produkcja przemysłowa skoczyła na 131, w 1951 na 162. W porównaniu z r. 1938 produkcja stała na jednego mieszkańca wzrosła w 1951 ze 100 na 263, energii elektrycznej na 353, maszyn i narzędzi rolniczych na 458, obrabiarek na 1071. W tym samym czasie rolnictwo, oparte w przeważającej większości na gospodarce indywidualnej, wzrosło globalnie w roku 1950 na 111, a w r. 1951, w roku posuchy, spadło nawet do 106. W odniesieniu do okresu przedwojennego produkcja czterech zbóż wzrosła na jednego mieszkańca ze 100 na 119, pszenicy na 121, młeka na 117, żywności na 163. Gdy przemysł wólkieniczny dał w r. 1951 (w porównaniu z r. 1938) prawie dwa razy wyższą produkcję, krajowa produkcja surowców włókienniczych wzrosła na jednego mieszkańca o 12 proc., w tym wełny i lnu o 5 proc., konopi spadła nawet o 9 proc. l).

W Polsce przemysłowej, w Polsce Nowej Huty i Dychowa, Zerania i Lublina, Częstochowy i Kędzierzyna do rangi patriotycznego obowiązku urastała na wsi sprawa dotrzymania kroku przemysłowi, nadążenia za jego rytmem.

Indywidualna zaś gospodarka chłopska, mimo niewyczerpanych jeszcze wielu rezerw podniesienia produkcji, na dłuższą jednak metę nie jest w stanie nadażyć za tempem przemysłu. Gdy w PGR-ach wydajność pracy brygad ciągnikowych wynosiła na jedną godzinę pracy od 0,26 do 0,39 ha orki średniej, a procent czasu straconego na przestoje i jałowe przebiegi sięga maksimum 20, to w gospodarstwach indywidualnych wydajność pracy brygad ciągnikowych wynosiła najwyżej 0,20 ha orki średniej na godzinę pracy, a procent czasu straconego sięga 28. Gdy produkcja PGR — pszenicy osiągała na jednego zawodowca 7,9 q, a buraków cukrowych 28,4 q, to produkcja w gospodarstwach indywidualnych osiągała na jednego zawodowca 2,2 q pszenicy i 8,4 q buraków cukrowych 2).

Rok	Obszar w ha	Liczba rodzin	Liczba dniówek obrach.	Inwentarz zespolony (szt)			Średnie plony w ha		
				konie	bydło	trzoda	czterech zbóż	ziemniaków	buraków
1949	5385	416	164	356	785	401	17,7	133,0	183,0
1950	5961	532	228	408	900	453	18,8	123,4	200,0
1951	7051	669	276	445	1019	841	19,4	118,5	193,2

Wyniki osiągnięte łącznie w 22 spółdzielniach produkcyjnych II i III typu, które w 1951 r. dzieliły dochód po raz drugi 3)



Ale PGR-y to tylko część rolnictwa, część niezmiernie ważna, lecz nie można nią objąć całej gospodarki rolnej. Najszybsze nawet tempo rozwoju PGR i zajmowanie przez nie zwiększającego się stopniowo udziału w gospodarce rolnej (w r. 1952 — 9,6 proc. udziału w produkcji globalnej i 15,1 proc. w produkcji towarowej) nie jest w stanie jeszcze zlikwidować dysproporcji. Obok nich stanąć muszą przeobrażone na podstawie kolektywnych zasad gospodarowania nasze gospodarstwa chłopskie.

I oto ruch, który z nielicznych grup entuzjastów przekształca się z roku na rok w ruch setek tysięcy chłopów, otrzymał w Polsce przemysłowej niezmiernie ważne zadanie — dotrzymać przemysłowi kroku, wyrównać z nim rytm produkcji.

Liczba spółdzielni produkcyjnych szybko rosła i wraz rośnie ich udział w gospodarce narodowej.

Ten sam szybki rozwój przemysłu, który zwiększył odległość między nim a drepcącym w miejscu rolnictwem, powołał zarazem gęstą sieć Państwowych Ośrodków Maszynowych, wyposażał je w najnowsze maszyny i narzędzia. Ten sam przemysł dał do POM-ów w 1951 r. tysiące robotników metalowców dla politycznego i produkcyjnego umocnienia powstających spółdzielni produkcyjnych. Rozwój tego przemysłu pozwolił wygospodarować państwu ludowemu niezbędne fundusze na przeszkolenie fachowego i politycznego aparatu, powołanego do pomocy spółdzielcom produkcyjnym. Dzięki tym dźwięgom z roku na rok rozszerzał się ruch spółdzielczości produkcyjnej, a zarazem rozszerzała się baza socjalizmu na wsi.

Ze 136 spółdzielni w 1949 r. wzrosła ich liczba w 1951 r. do przeszło 1800. Objęły one wtedy 421,5 tys. ha w kraju. W poszczególnych województwach, np. we wrocławskim, w r. 1950 ich waga była wielokrotnie większa od przeciętnej krajowej. Objęły one tam 11,3 proc. ogólnej ilości gruntów, a w województwie szczecińskim 13,5 proc. gromad i 6,8 proc. gruntów.

W roku 1951 liczba spółdzielni produkcyjnych przekroczyła na koniec roku 3500.

W roku 1952 sięgała prawie 5000 tys., obejmując przeciętnie co osmą gromadę. Obecnie na 1 lutego 1953 r. wynosi — 5265. W takich województwach jak np. wrocławskie spółdzielnie objęły na koniec 1952 r. 15 proc. gospodarstw i 23,6 proc. ziemi, a w woj. szczecińskim 23,7 proc. gospodarstw i 42 proc. ziemi.

Wzrost spółdzielczości produkcyjnej, jej przekształcanie się z ruchu awangardowego, z ruchu niewielkich grup chłopów w ruch masowy, coraz bardziej stwarza poważne oparcie na wsi dla rozwoju całej gospodarki narodowej. Jednym z rytmów pracy socjalistycznej przemysłu i socjalistycznego rolnictwa, fabryki, PGR-y i spółdzielnie produkcyjne. O tempie rozwoju spółdzielni mówi np. następująca tabelka.

Spółdzielnie te sprzedają państwu średnio z 1 ha gruntów: zbóż w r. 1950 — 147 kg, w 1951 r. — 450 kg; ziemniaków w 1950 — 132 kg, w 1951 — 148 kg.

Mówią również o sile produkcyjnej liczby dotyczące wydajności pracy.

W roku 1950 wydajność produkcji czterech zbóż wyniosła na jednego pracującego w PGR — 33,7 q, w spółdzielniach produkcyjnych 24,7 q, a w gospodarstwach indywidualnych 16,1 q. Nakład pracy przy tym wynosił w 7,3 hektarowym gospodarstwie 95,5 dni roboczych na 1 ha w r. 1951 (przykład z gospodarstwa prowadzącego rachunkowość z gm. Plesna, pow. Dzierżonów), podczas gdy w położonej obok spółdzielni produkcyjnej Niemcza Wielka — 34 dni roboczych na ha.

Liczy też mówią same za siebie. Można by je mnożyć, przykładów bowiem wyższej od gospodarstwa indywidualnego wydajności pracy w spółdzielniach produkcyjnych, szybkiego tempa ich rozwoju jest bardzo wiele. Ukazują już one w praktyce nowy, wydajniejszy system.

W obliczu dysproporcji w gospodarce narodowej liczby te wyraźnie wskazują drogę, jaką prowadzi do dotrzymania kroku przemysłowi, jaką, podnosząc dobrobyt chłopów równocześnie znacząco gospodarce narodowej, a przez to obronność i niepodległość naszego kraju. Stwarza ona warunki niezbędne dla szerszego działania podstawowego prawa socjalizmu — prawa maksymalnego zaspokojenia stale rosnących materialnych i kulturalnych potrzeb całego narodu.

Sukcesy, jakie na odcinku spółdzielczości produkcyjnej odniosła gospodarka narodowa w r. 1952 i fakt istnienia dziś przeszło 5200 spółdzielni produkcyjnych nie są przypadkowe. Rozwój przemysłu pociąga za sobą wieś. Kto chce patriotycznie dotrzymać na wsi kroku rolnictwa, w r. 1950 ich waga była wielokrotnie większa od przeciętnej krajowej. Objęły one tam 11,3 proc. ogólnej ilości gruntów, a w województwie szczecińskim 13,5 proc. gromad i 6,8 proc. gruntów.

Bogusław Gałęski

1) JER. „Wies w liczbach w Polsce kapitalistycznej i w Polsce Ludowej“ — wyd. II, PIWRIL.

2) Anatol Brzoza — Perspektywa o której nie wolno zapominać — Nowe Rolnictwo nr 1. 1952 r. Wyd. PIWRIL.

3) JER — „Wies w liczbach w Polsce kapitalistycznej i w Polsce Ludowej“ — Warszawa — PIWRIL. Wyd. II. 1952 r.

JULIAN STAWIŃSKI

ZBROJNA STRAŻ POKOJU I POSTĘPU



JESLI zadać sobie pytanie — mówił Lenin w grudniu 1920 — czym, w ostatecznym rachunku, tłumaczą się nasze zwycięstwa nad znacznie silniejszym nieprzyjacielem — musi się odpowiedzieć, że tym, iż w organizacji Armii Czerwonej były znakomite urzeczywistnione konsekwencja i nieugiętość proletariackiego kierownictwa sojuszem robotników i pracującego chłopstwa przeciwko wszystkim wyzyskiwaczom. W jaki sposób mogło to nastąpić? Dlaczego olbrzymia masa chłopstwa tak chętnie na to poszła? Dlatego, że będąc w miazdzącej większości bezpartyjną, przekonała się, iż nie ma innego ratunku poza poparciem władzy Radzieckiej. A przekonała się o tym, rzecz jasna, nie na podstawie książek, ani propagandy, lecz doświadczeniem.

Chłop rosyjski stanowił olbrzymią większość ludności. Lecz nie był socjalistą w czasach najazdu czterech interwencji, w latach, gdy wróg klasowy z bronią w ręku usiłował potokami krwi zagasić ogień Października. Chłop rosyjski nie był socjalistą i nie chciał umierać za niezrozumiałe jeszcze dla niego podówczas socjalizm. Ale widział rabusiów angielskich, francuskich, japońskich, amerykańskich. Nahajem i szubienicę nawracają go na obszarniczą wiarę hordy Kołczaka, Judenicza, Denikina, Wrangla. Nadworne chorągwie polskich królów i kresowców, opite czarnym duchem „Dziś i jutro”, wbiły na pal jego i ukraińskich i białoruskich braci — kradnąc ruble złote, zegarki i wieprzki. A zagonicy Piłsudskiego ogniem i mieczem pustoszyli kraj. Przekonane tym krwawym doświadczeniem chłopstwo, całą swą olbrzymią masą stanęło u boku walczącej klasy robotniczej, stanęło po stronie władzy Radzieckiej, wiedząc, że ona jedna może mu uratować wolność i ziemię, może uratować WOLNOŚĆ ZIEMI OJCZYSTĘ.

Z gorącej ofiarności tych mas, coraz bardziej rewolucyjnych, ze świadomego entuzjazmu proletariatu, powstała Armia Czerwona. I wzniosła się na takie wyżyny oddania i poświęcenia, na jakich dotąd stawali tylko herosi wielkich legend ludzkości. Wymiary legendarne przybrała cała walka rewolucyjna, a bohaterem — po raz pierwszy w dziejach — była nie jednostka, ale zbiorowość, szary ogół żołnierzy.

Szefi Frunze na czele zorganizowanych już kształtów zbrojnej rewolucji. Czapażew przemierzał bezimierny równin Południa. A uszedł wołało tych pochodni historii buchały ognie partyzantki, jak pożar traw na wysychającym, spopielanym stepie. Wrogą gniał od żaru, zanim jeszcze dosięgły go płomienie głównego ogniska. A z epopei walczącego ludu, z bólu zwycięstwa i triumfalnej radości zwycięstwa, wyrastała postać obrońcy Czerwona, twórcy bojowej przyszłości Armii, jej potęgi, jej roli WYZWOLI-CIELKI NARODÓW.

O przewadze wojennej decyduje organizacja armii, dyscyplina, uzbrojenie, technika. Ale pierwszym warunkiem zwycięstwa jest duch tej armii, jest postawa żołnierza, świadomość celów i przyczyn wojny. A w żadnej epoce dziejów, nikt nie zdołał osiągnąć tak głęboko w masy ludowe, nie potrafił tak porwać za sobą całego narodu, jak to uczyniła Rewolucja Październikowa.

W kapitalizmie współczesnym źródłem władzy jest siła gospodarcza wielkich monopolów. Armia jest narzędziem tej siły, przez nią organizowanym i trzymanym w ryzach za pomocą odpowiednio szkolonych kadr dowódczych. Taka armia jest najbardziej sztywnym, skostniałym i reak-

JURIJ JAKOWLEW

WARTA POKOJU

Nad granicą uważnie strzeżoną przez patrol
Pędzą chmury jak łodzie żeglarskie pod wiatrem.
I bagietów pod niebem stalowe lśnią ostrza...
Wymijają się warty. Brzmi okrzyk i rozkaz.
Ta granica jest rzecze podobna, co godzi,
Łączy dwa różne brzegi — dwa różne narody.
Różne, lecz sobie bliskie dziejami i walką
I zwycięstwa nad wrogiem pieśnią triumfalną.
Teraz tutaj oddawna już frontu nie słychać.
Pozostała z lat wojny nieobjęta cisza.
Cisza taka rozległa: śnieżny szlak otwarty...
Cisza taka surowa jak żołnierskie warty.
Na granicy zawiąnię przez burzliwą zamięć
„Kto idiot” i „Kto idzie” jest mową tą samą.
Bo na obydwu brzegach tej rzeki najcięższej
Dzisiaj z bronią nie stoją wrogów armie liczne.
Idzie Polak powoli, spokojnie niesie w ruchach
I na Związek Radziecki patrzy jak na druha
A wartownik radziecki, co Polskę ratował,
Dziś zamienia z sąsiadem przyjacielskie słowa.
Tu ich życie żołnierskie, ich służba zaszczytna
Zaufały przyjaźni, urodzonej w bitwach.
Stoi żołnierz radziecki na śnieżnej granicy.
Warta na oczach świata. I świat na nią liczy.
Stoi żołnierz. Dogląda Kamczatki i Karpait.
I mocno trzyma pokój na szerokich barkach.

Tłumaczył GRZEGORZ TIMOFIEJEW

cyjnym oparciem burżuazji. Takie były wszystkie armie wszech czasów, od legionów rzymskich po hitlerowskie kohorty, taką jest atomowa maszyna USA. Obecnie ciało w narodzie — ciało wroga dla klas pracujących. Imperializm stawia armię w poprzek drogi proletariatu, aby osłonić swą władzę jej stalowym pancernem. Do czasu, zawsze tylko do czasu, póki stał nie stopi się w ogień.

„Baryka wyszedł z szeregu robotników i part oddzielnie, wprost na ten szary mur żołnierzy — na czele zbiedzonego tłumy”. We wszystkich krajach, gdzie istniał i gdzie trwa jeszcze ucisk, Barykowie o jakimś dniu uderzą na szary mur na czele zbiedzonych tłumów. I to jest właśnie przedwiosna rewolucji. Pisarz słusznie zatrzymał się na tym zdaniu: dalszy ciąg mogła pisać tylko historia. Każda rewolucja zwycięża w pełni dopiero PO ROZBICIU, PO ROZŁOŻENIU ISTNIEJĄCEJ, BURŻU- ZYJNEJ ORGANIZACJI WOJSKOWEJ.

Zrewolucjonizowany żołnierz rosyjski wypadł z armii carskiej, spod władzy reakcyjnego oficera, ale nie stał się jeszcze automatycznie żołnierzem armii rewolucyjnej — ZDOLNEJ DO PROWADZENIA REWOLUCYJNEJ WOJNY. Trzeba ją było STWORZYĆ, nadać organizację, wyszkolić wojskowo, a zwłaszcza wyszkolić POLITYCZNIE. Sam entuzjazm i gotowość bojowa nie wystarczały. Były przesłanką potężną, przejawem i konieczną i rozstrzygającą, ale tworzyły dopiero fundament. Dla- stanką konieczną i rozstrzygającą, ale tworzyły dopiero fundament. Dla- tego, oparto początkową budowę Armii Czerwonej na OCHOTNICZEJ za- sadzie. Dlatego nawet wówczas, gdy młoda, ale młodocia swą potężną, odnosiła swe pierwsze, historyczne zwycięstwa, Lenin w szeregu prze- mówień i artykułów ostrzegał przed latwym, a krótkowzrocznym dy- skontem entuzjazmu, ostrzegał przed rewolucyjnym frazesem. I dlatego w chwili jej powstawania Rząd i Partia powierzały organizację wojsk i kierowanie operacjami wojennymi najwybitniejszym, najbardziej doświad- czonym działaczom partyjnym.

Od Czerwona po Berlin, szlakiem niezliczonych zwycięstw, przez z górą zwycięstw, wiodła Armia Czerwona, troskliwa i nieomylna dłoń Józefa Stalina. Nie tylko szlakiem zwycięstw. Armia robotników i chłopów, armia braterstwa narodów była też wielkim wychowawcą, wielką szkołą idei, pracy twórczej, pracy przy budowie przyszłości świa-



ta. Szkolila nie tylko dowódców. Narodom swego kraju dała olbrzymie zastępy budowniczych, fachowców, kwalifikowanych robotników i robotni- ków. Mityczny Atlas czerpał siły w zetknięciu z ziemią. ARMIA RA- DZIECKA CZERPIE SWĄ SIŁĘ Z NARODU. Ale oddaje mu ją w dwój- nasób, albowiem stanowi z nim JEDNO. Armia kapitalistyczna rozwija się tylko technicznie. Armia Czerwona ROŚNIE IDEOWO Z ROZWOJEM SWEGO KRAJU I PRZYSPIESZA TEN ROZWOJ W MIARĘ SWEGO WZROSTU.

Jej marsze strategiczne są zarazem pochodem postępu. Każde jej zwycięstwo jest aktem wyzwolenia i zbliżeniem przyszłości. Świat nie znał jeszcze armii, KTÓRA NIGDY W SWYCH DZIEJACH NIE DOKO- NAŁA KROKU ZACZEPNEGO, której zadania i cele są zawsze OBRONNE. Taką armię świat poznał po raz pierwszy, wraz z powsta- niem pierwszego państwa socjalizmu.

Gdy przetaczają się fronty, ludność drży, kryje się pod płonącymi, uchodzi w lasy. Obecny żołnierz wita skamieniały w milczeniu okrzyk przeobrażenia. Jest to owoc długich doświadczeń. Armie rewolucji francuskiej wyruszyły do boju z hasłami wolności, równości, braterstwa. Od- bijało je echo piramid, równin polskich i amerykańskich preri. Padły jak grom — i niosły wszechwładztwo francuskiej burżuazji, dyktaturę jej generała. Uwizał pół Europy do swego rydwanu wojny, organizując pierwszą kapitalistyczną krucjatę na podobieństwo Wschodu.

Złudzenia były nazajutrz obuchem zwyciężonych rozczarowań. Kwiaty, rzucane pod stopy wojsk Eisenhowera, zakwitają dziś krwawym śladem razów pancernej pięści nowego okupanta.

Przed Armią Czerwoną uchodziły w popłochu resztki zmiażdżonych wyzyskiwaczy, szczątki pasożytów, burżuazyjnych i obszarnczych pleśni. Imperializm amerykański walczył z konkurencyjnym imperializmem nie- mieckim. Celem wojennym Związku Rad, zadaniem Armii Radzieckiej było zgnięcie faszyzmu, wyzwolenie narodów. Narody słuchały coraz bliższego huków radzieckich armat jak hymnu swobody, szły zbrojną par- tyzantką na spotkanie wojsk z wiarą, że przynioszą im życie. Szturm Berlina urócił Europie wolność, ocalił cywilizację. Pogrom japońskich na- jeźdźców oznaczał wyzwolenie Azji.

Kwiaty, którymi zdobiono ławety dział Armii Czerwonej, rozkwitły w przyjaźni — trwały, nierozrywne, z każdym dniem mocniejsza. Nad bezpieczeństwem połowy świata czuwa armia socjalistycznego pokoju. Pod osłoną jej siły mogą żyć i pracować nawet liczne narody zza żelaz- nej kurtyny.

Burżuazja każdego kraju rozdmuchuje w swej armii instynkty na- cjonalistyczne. Stąd ułatość wszelkich kapitalistycznych aliansów, ich przelotność i koniunkturalność. Sprzeczności kapitalistyczne kopią nieprze- byte przepaści między ich wojskami i nie zasypia ich żadne pakt, czy sztabu atlantyckie. Armia radziecka jest JEDYNĄ w świecie armią, w której INTERNACJONALIZM STAŁ SIĘ RZECZYWISTOŚCIĄ. JEJ SOJUSZNIKAMI SĄ WSZYSTKIE NARODY ZIEMI, JEJ WROGAMI SĄ WROGOWIE NARODÓW.

Armia, której dążeniem nie są podboje, lecz WOLNOŚĆ, której prze- wodnią ideą nie jest wojna, lecz POKÓJ.

GWARANTKA POKOJU, MIECZ wzniesiony nad głową nieprzyjaciół ludzkiego szczęścia.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

KOBIETA PATRZY W PRZYSZŁOŚĆ

Dzieciństwo i młodość, owe najpiękniejsze lata życia, spędziła Klara Miszka w biednej wsi kartuskiej, a Zofia Safin w rodzinnym powiecie Tarnobrzskim. Obie kobiety oddziaływała wielka przestrzeń geograficzna a jednak los ich w kapitalistycznej Polsce bliźniacz- co był podobny. Tak dalece podobny, że po ominięciu szczegółów, można by właściwie napisać jeden życiorys a położyć pod nim dwa nazwiska.

Obie nazwały czwartą oddział szkoły powszechnej — „wyższą szko- łą”, do której rodzice już nie posłali, gdyż byli biedni. Obie rwały się do życia, a ono zginało ich dziewczęce karki na polach pruskiego junkra i polskiego obszarnika. 80 groszy dziennego zarobku, po ciężkim dniu pracy, który świt rozpoczynał a koń- czył zmierzach — to była podstawa do skalkulowania miesięcznego budżetu. Przeprowadzanie i zaniedbana mło- dność, oto jedyną wiano jakie mogły wnieść do nowej rodziny. I to nie przypadek, lecz prawidłowość. że obie wyszły za mąż później niż go- spodarskie córki, bo dopiero wtedy, gdy przeszedł im 25-ty rok życia. Wzięli je tacy jak one robotnicy fol- warchni, dodając drugie 80 groszy na każdy niepewny dzień.

Wspomniły te lata w okresie Re- formy Rolnej, po wyzwoleniu ze ła- mi w oczach. Byłoby to tylko żal za zmarłą młodością?

Nie tylko. Mówimy tu przede wszystkim nie o losach młodych dziewcząt lecz — matek. Miszka mia- ła 10-cioro dzieci. Ma ich teraz tylko 6. Nie mogła im zapewnić ani odpo- wiedniego wyżywienia, ani opieki lekarskiej. Trzy córki zmarły z ne- dzy, syn padł na wojnie. W Polsce Ludowej wydała Klara 4 córki za mąż i wszystkie żyją szczęśliwie. Ma dziś już 58 lat, pomaga jej syn do- kształcający się na kursach dla do- rośli, po trosze i 16-letnia córka, która sposobi się do zawodu kra- wieckiego. Odmienne to losy od matczyńskich. Lecz matka, gdy wspo- mina te co padły z głodu, ma łzy w oczach, choć zaciskają się usta. Ten prosty i jakże ludzki gest nabierze z czasem wyraźnej wymowy poli- tycznej.

Nie łatwą jest sprawą okre- ślić jasno etapy dróg, które po- wiodły Klare, Zofię i dziesiątki ty- sięcy innych kobiet wiejskich do no- wego życia. Od leku przed braniem pańskiej ziemi, do przodownictwa w Kole Gospodyń Wiejskich, od „róża-
cowego” rzucania się pod pierwszy na gromadzkich polach traktor, do agtacji za spółdzielczością produk- cyjną — droga w czasie nie długa, obejmująca 5—8 lat, lecz jakże burz- liwa i skomplikowana!

Przypomnijmy najpierw pierwsze gorączkowe miesiące po wyzwoleniu. Matężstwo Dmowsky pociągnęli z Polski centralnej na północny — za- chód do powiatu Szczecinek. Oczeki- wało ich tam 6 ha ziemi, której nig- dy dotąd nie mieli. Ich pierwsze odczucie zmiennej sytuacji?

„Za Polski sanacyjnej — pisał Anna Dmowska — pracowałam z mężem po służbach i za naszą ciężką pracę nie mieliśmy za co kupić sobie i dzieciom butów i odzieży i martwiłmiśmy się, że na jutro nie będziemy mieli już w ogóle pracy. Dzieci mieliśmy troje, które cho- dziły boso i nagie i były zniecierpliwio- ne przez kulałów. Nazywano ich „dzia- dzo-kami” a dziś zadowolają naszej kocha- nej Polsce Ludowej, że najmłodsze z nich chodzą do szkoły ubrane przyzwoicie, ciepło i syto i nie martwimy się o nich. Jestem spokojna dziś o ich losy, a za sanacji to by paśli krowy u kula- ków”.

Spokojny był rodzinny, syte dzieci, możliwość wyżywienia się z gospodarki — w tym zakresie naj- pierw odczuły kobiety — Klara, Zo- fia, Anna rewolucyjne zmiany, jakie przyniosła ludowa ojczyzna. To był pierwszy etap ich nowego myślenia.

Ale byłoby niewybaczalnym błą- dem sądzić, że na tym tylko małym krąжку rodzinnego świata, kończyło się zrozumienie pierwszych miesięcy młodej Polski Ludowej. Mówimy o kobietach-matkach, dobrze pamięta- jących dawne lata wyzysku. Dlatego, choć lże roniły patrząc na to co było, spoglądały już u progu nowej ojczy- zny w przyszłość. Wielki to, wbrew pozorom krok naprzód, zapowiadają- cy poważniejszy przełom.

„Uszanowanie i znaczenie kobiet w na- szej gromadzie zwiększyło się znacznie. Stwierdzam to z całą pewnością i na pewno z biegiem lat jeszcze się ten zna- cunek zwiększy, bowiem kobieta prze- stala być tym kopcuszką przy garn- kach — pisał Helena Otulakowska, 48- letnia gospodyni z Olszbrach (woj. zie- lonogórskie).

Otulakowsky posiadają 1,98 ha ziemi. Gospodarstwo prowadzi raczej Helena. Jej mąż liczy już ponad 60 lat, jest wyraźnie zmęczony ciężkim życiem. Na kobietę więc spadł obo- wiązek załatwiania urzędowych spraw z sołtysiem i GRN. Ona odstą- wia zboże, mleko, tuczniki. I chociaż- że czynności oznaczały kopcuszką przy garnkach, nie one zadziwiły okolicę. Jest przecież wiele kobiet prowadzą- cych gospodarke. Pomyślny uważa- nie: 1,98 ha ziemi! Niewielki to ka- wałek, a mimo to gospodyni pisze, że ziemi ma pod dostatkiem. Jakże to możliwe?

W połowie września 1952, na kró- tko przed wstąpieniem do spółdzielni produkcyjnej zbliżowała Otula- kowska dorobek na gospodarstwie. Wynik był imponujący — oto 2 ha żywności: 2 krowy, 8 tuczników, 8 o- wiec, 100 rasowych kur — „leghor- nów” i 120 kurcząt! Sukces jakiego nie osiągnął żaden matorolny w oko-

kim gospodarstwie do 9-ciu krow i 25 sztuk trzody chlewnej.

Lecz ożywienie produkcyjne ko- biet nie wystąpiło samo bez ścisłego powiązania z równocześnie dorze- waniem politycznym i kulturalnym.

Powróćmy jeszcze do przykładu Otulakowskiej, jest on bowiem bar- dzo pouczający. Wraz z wejściem na rynek poprzez skup i kontraktację, pogłębiła się jej wiedza polityczna o socjalistycznym handlu.

„Dziś nie ma wielkiej różnicy między miastową kobietą a wsiową. Stopa żyto- wa znacznie się podwyższyła. Kiedyś o pończochach jedwabnych kobieta wiejska nie myślała nawet, bo starczało za- ledwie na ten chleb powszedni. Dowo- dem tego, że towarów tekstylnych na wsi ciągle mało i mało, to znaczy, że wieś się ubiera, bo produkcja nie spada, a rośnie”.

Helena pisała ten list w grudniu, wyraża zatem poglądy, które są roz- umieniem spójni ekonomicznej przed styczniowym dekretem, jeszcze w



licy. Gdybyż jednak o to tylko cho- dziło.

Otulakowska błysnęła jako wzoro- wa gospodyni, złamała fałszywą le- gendę, jakoby kobieta nie zdolna by- ła opanować niczego więcej prócz ho- dowli kur na podwórzu. Helena wy- szła nie tylko poza podwórko, ale ustaliła właściwe proporcje pomię- dzy uprawami a hodowlą. I to właśnie jakościowe osiągnięcie zapewniło na- szej gospodyni społeczne uznanie.

Ale Otulakowska nie jest ja- kąś wyjątkową kobietą. Klara Miszka podwoiła hodowlę świń na przestrzeni roku. I dodaje przy tym spokojnie, że bez najmniej- szego trudu przekracza wszystkie zo- bowiązania z racji umów kontrakt- acyjnych. Wdowa Monika Nowak z gromady Studźce, doszła na średniac-

zasie, kiedy spekulanci raz po raz zagrażali równowadze w socja- listycznym handlu.

Skup i kontraktacja przyniosły kobietom największe ze wszystkich doświadczenia produkcyjne i poli- tyczne, była to i jest najbardziej ma- sowa kuźnia kobiecych kadr.

Walka o pełną produktywność go- spodarstwa miała dla produkujących kobiet podwójne znaczenie. Z jednej bowiem strony prowadzi do zrozu- mienia zasadniczej jednoci interesu osobistego z narodowym, z drugiej — zwraca się przeciwko rozmaitemu rodzajowi wrogom, zwłaszcza zaś szkodnikom gospodarce. Nie łat- wo przyszło Miszce podciągnąć tak wysoko gospodarke. Ileż serdecznego trudu, ciężkiej pracy trzeba codziennie wkładać w nie-

„Nieustannie wzrasta dziś w narodzie polskim rola twór- cza milionowych mas kobiecych. Coraz większe i donioślejsze jest ich znaczenie, ich praca, ich wpływ, ich udział w wiel- kich przeobrażeniach społecznych i politycznych, gospodar- czych i kulturalnych w Polsce Ludowej”.

(Bierut)

(Z listu do uczestniczek Krajowej Rady Przetwarzających Kobiety Miast i Wsi.)

cale 2 ha Otulakowskiej, by tak pięknie owocowały. Stąd też udział kobiet w walce klasowej staje się już szczególnie wyraźny na etapie, kiedy działają wzorowe gospodynie, czynne wobec matorolników i kom- binatorów.

Do historii powiatu oleśnickiego przejdzie zapewne dramatyczna walka Kubiakowej z sołtysiem gromady Wojciechów — Hudym. Znany ten spryciarz, podzielił fikcyjnie gospodar- kę, część zaniedbał, wygusował. Zdemaskowała go Kubiakowa w „Rolniku Polskim”. Hudy wszelkimi sposobami starał się odwieść chło- pów od plantowania i kontraktowa- nia buraka i w ten sposób goził w ekonomiczne podstawy gospodarstw chłopskich, starając się obniżyć ich dochodowość. A jednak przez trzy lata 1950—51—52 Kubiakowa wespół z mężem powiększyła liczbę kontrak- tujących z 13-tu na ponad 40-stu. A to już nie była walka wyłącznie o własne gospodarstwo, lecz politycz- ny bój o posunięcie produkcji całej gromady na wyższy poziom.

Te właśnie akcje wysunęły wiele już kobiet na czoło gmin i powiatów. Z naszych bohaterek — Zofia Safin jest sołtysiem i radną PRN w Tarno- brzegu, Otulakowska członkiem Po- wiatowego Zarządu ZSCH, radną GR i przewodniczącą Koła Gospodyń Wiejskich, Kubiakowa znanym ko- respondentem terenowym i aktyw- stką ZSCH...

Ostatnie tygodnie przed Krajo- wym Zjazdem Spółdzielczości Pro- dukcyjnej pokazały charakterystycz- ne zjawisko. Oto licznie niż kiedyś- kolwiek przedtem podpisywały sta- tuty kobiety.

Dlatego włączanie się kobiet w socjalistyczną gospodarkę staje się już możliwe?

Nim drżąc ręką Weroniki Pająk z Bielin pow. Nisko złożyła nie- wprawnie podpis na deklaracji, o- bejrzała ta wzorowa gospodyni ko- chozy radzieckie na Ukrainie. Wero- nika zrozumiała, że nawet najbar- dziej ofiarną pracą na małej indy- widualnej gospodarce do takiego do- brobytu nie dojdzie. Lecz nie tylko to. Weronika Pająk to matka 10-cior- ga dzieci. Połowa spośród nich wy-

maga troskliwej opieki, żłobka lub dziecińca, stałej opieki lekarskiej, stoncznej izby, racjonalnego żywie- nia. A te warunki spełniają spół- dzielnie produkcyjne. Obok dojrz- ącej i świadomej aktywistki, skato- wanej przez kulałów przed wyjaz- dem do Kraju Rad, odezwiało się na- krótko przed podpisaniem statutu serce matki, która chciała by widzieć swoje dzieci szczęśliwe już od naj- wczesniejszego dzieciństwa.

Wiele, bardzo wiele wyjaśniają li- sty aktywistek z rozmaitych gromad. Wynika z nich jasno, że te same przyczyny, które dynamizowały je w walce o podniesienie gospodarki je- szcze indywidualnej, doprowadziły je równocześnie do kolektywu.

Kubiakowej spadła po wojnie z głowy troska o przyszłość dzieci. Przeszła prerażać groźba proleta- ryzacji drogą działów rodzinnych, dzieciom nie zagraża widmo bezro- boci. Dlatego, po raz pierwszy w życiu, mogła ta niestara jeszcze ko- bieta pomyśleć wraz z mężem o wła- snej przyszłości. Rzucili się do pracy o maksymalną wydajność gospodar- ki, zaplantowali pierwszy w gromadzie buraki, rozwinęli hodowlę.

Lecz od podstawowej sprzeczności, przed którą stanęli w roku 1952, u- chronić się nie mogli. To co przy- śpieszało ich dotychczasowy rozwój pocięło go z kolei hamować. Kubi- akowa nie może liczyć na pomoc do- rośliwych dzieci. Starsi pracują w prze- myśle, młodzi uczą się pilnie. Mo- gliby zapewne Kubiakowie jesz- cze więcej włożyć trudu w ho- dowlę i uprawy, ale niewolni- kami gospodarstwa być nie chcieli. Oglądali się na maszyny. Tymczasem to, że Polska z kraju rolniczego wy- raźnie przemienia się w przemysło- wy, wyraziło się i w tym, że poja- wily się w POM-ach wielkie, skompi- lowane maszyny dla socjalistycznej gospodarki. Pierwszy kombin kraj- owej produkcji, jaki Kubiakowie zo- baczili, nie mógł się przydać w wal- ce o dalszy rozwój ich małej gospo- darki. Mogli więc zapracować się fi- zycznie, albo stać w miejscu, co o- znaczało tyle co cofać się. Kubi- akowa zrozumiała te dyalektyczne roz- woju. Obje pierwszy podpisał statut.

Wiesław Jażdżyński

Indywidualni na drodze do spółdzielni produkcyjnych

BRONISŁAW PIĄTKOWSKI

Nawozy sztuczne, maszyny, traktory...

W 1945-46 r. nikt u nas nie znał uprawy buraka cukrowego. Sredniorolni i małorolni oglądali go tylko na dworskich polach i byli zdania, że co innego dworskie, a co innego chłopskie. W 1946-47 r. na skutek starań rządowych, część chłopów przełamała nieufność i innych własnym doświadczeniem, sadząc buraki wbrew pogłoskom kułackim, które twierdziły, że uprawa na małych poletkach nie opłaca się.

Oto jak mój sąsiad doszedł do wniosku, że jednak burak to białe złoto. Po zebraniu gromadzkim, na którym agronom mówił o korzyściach wynikających z uprawy buraków, w rodzinie Wróblewskich zdania na ten temat były podzielone. Stary Marcin ani nie chciał o tym słyszeć, kurczowo trzymał się uprawy ziemniaków, owsa, żyta, a nawet pszenicy nie dowierzał i uważał ją za zboże rosnące tylko u... kułaków. Franek zaś, jego syn, a członek „Wiści”, uważał inaczej. Ale ponieważ nie mógł przekonać ojca, chwycił się więc podstępnie. Zamienił nasienie buraków pastewnych na cukrowe; ziemia była dobrze pod nie przygotowana i nawieziona (nie bez oporów starego Marcina) o parę dniach roślina wyszła. Szybko Marcin zorientował się, że buraki są jakieś dziwne i wpadł w furję, gdy syn mu powiedział o wszystkim. Zysk jednak stary ocenił dopiero wtedy, gdy przyszło do odbioru kukurzy. Z 25 arów ziemi obsianej burakami zebrali 60 q, za co otrzymali 192 kg. kukurzy. Było trochę biedy z wożeniem buraków na stację, odciegła o 18 km, ale już w 1951 r. zaczęły PKS-y odbierać buraki w Węgrowie, a następnie ruszyła w naszych stronach nowoczesna cukrownia „Sokołów”, całkowicie zbudowana po wojnie.

Dziś u nas we wsi nie ma takiego, który nie kontraktował buraków, choćby wysadził je tylko na 10 arach.

Maszyny przyszły do naszej wsi nieco później. W 1949-50 r. rozeszła się pogłoska, że w Węgrowie powstaje Państwowy Ośrodek Maszynowy. Ale czy kto kiedy widział, żeby „dziady” kopaczką zbierali a traktorem podorywali? — wysmiewali się kulaści. I dodawali, że zaraz po traktorach przyjdzie „wspólnota”. Bo pociąży traktory na chłopskie zagony? Czy sнопowiąż-

ka może kosić chłopskie „górki i dolki”?

Z naszej wsi do POM-u poszło wielu chłopaków i wiele dziewcząt. Oto Edek Wojtyra podkopywał swemu kułackiemu dobrodziejowi za pracę i zgłosił się na kurs traktorzystów. Oto Danajak uciekł od swego majstra, który go neliłościwie wysykiwał i poszedł śladami Edka. A i dziewczęta nie próżnowały. Kształciły się w wiejskich krawcowe latami tak, że dziewczyny nie wiedziały nawet, czy krok w kalesonach wyciąga z przodu czy z tyłu? Plakaty dziewczęta, a rodzice kiwali głowami na takie nieuctwo i marmowienie pieniędzy. Aż tu nagle bomba pekiła — dziewczęta zgłosiły się do POM-u.

Cieżkie mieli ludzie z POM-u początki. Zaczęli od przeorywania zagonów w swoich wsiach rodzinnych. Edek Wojtyra zjechał kiedyś do starej Franiowej, która ciężko dysząc, odbierała przez pół dnia żyto za najemnikiem. Ziarno już sypało, czas był najwyższy zbierać. Patrzyła Franiowa na bielejący obok zagon żyta Wojtyrów i pomyślała na ich gagatka, który gdzieś się po świecie uwiłaj zamiast pomóc rodzicom. Po południu najemnik podkopywał Franiowej za pracę, zapowiedział, że za 80 zł. dziennie nie dla niego nie robota. Kobieta na załamała ręce i prosiła, aby choć dokosił do wieczora. — Maż chory — prosiła. Ale najemnik nie słuchał, powiedział tylko na odchodnym:

— Żebym nie długo czekał na te pieniądze, co mi się za dwa i pół dnia należy, bo z dymem was puszcza.

Franiowa westchnęła i pomyślała, że trzeba będzie do kułaków z Warchol pójść po kosiarkę. Ale czy pożyczka? Ile zacięnia? Tymczasem od gościnka warczał traktor, ciągnął coś dziwnego, jakąś maszynę z drewnianymi skrzydłami jak u wiatrak.

— Edek! — krzyknęła zdumiona Franiowa.

— Pożyczcie mi na chwilę wasze kosi, matozko — powiedział wesoło chłopak, przystając opodal zagonu — chcę zrobić miejsce dla mojej starej, żeby miała się gdzie wykroczyć, bo to jest zażywna niewiasta, która lubi przestrzeń.

— Ożeniłeś się? — spytała zaciękawiona Franiowa, podając chłopcu kose.

— Na razie jeszcze z tego nic. Na wiarę żyjem — zażartował E-

dek. Franiowa patrzyła na niego zgorzsnia, ale nie powiedziała. Edek przekosił jeden pokos a stara przyglądała mu się badawczo.

— Słuchaj, Edek — powiedziała z namaszczeniem — przed ty dusze wyzioniesz, niż mi sam skosisz ten zagon. Ale po coś przypro-wadził tu jakieś motowidło? Wejść nim na motki nawijaj będziesz?

Edek zaśmiał się, wsiadł na siodelko traktora i zapuścił motor. Franiowa ujrzała też drugiego „pędziwiatra” od Biernatów, który rzucił niedawno swego „dobrodzieja”.

— Ten będzie ci odbierał? To ja wam kosi nie dam, bo połamię!

— Dziękujemy, matozko za kosę. Odniescie ją do Muzeum w Warszawie — zaśmiał się Edek a Biernaczak wskoczył na siodelko przy motowidłach. Traktor ruszył, maszyna za nim też i niebawem spod stołnicy wypadł równiutki snopek żyta, a po nim następne. Franiowa przeżegnała się i zamieniła w ślup soli nczym żona Lota. Chodziła za maszyną przez trzy godziny, aż do ukończenia pracy i patrzyła jak im idzie. Nie można powiedzieć, że wszystko poszło im „na glanc”.

Gdzieś niedziedle rzyśko zostawało wysokie, w innych miejscach maszyna zdarła ziemię, lecz to była wina zlej, zagoniarekiej orki.

Po skończeniu, Edek spytał starą, co powie na jego wybrana. Czy szybko tańczy? Czy warto z nią ślub wziąć?

— Chłopcze, wy się ze mną nie śmieście — powiedziała Franiowa. — Cóż z tego, że maszyna dobra, ale przez nią trzeba zapisać się do „wspólnoty”.

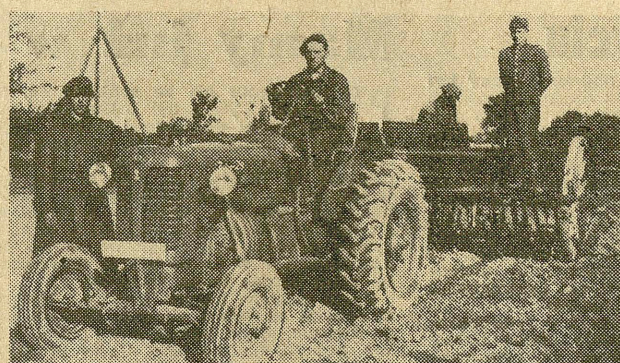
Z koleż dziełmi się chłopcy. Franiowa opowiadała im, że kulaści wszystkim tłumaczy, że pod pokwitowaniem o odbyciu pracy jest kalka, a jak się podpiszesz, toś prze-pała, bo podpis wyraża zgodę na spółdzielnię produkcyjną.

— Słuchajcie, sąsiadko — powiedział Wojtyra — nie chcecie, nie podpisujecie. Do wieczora to ja sko-szę u nas i podpiszę.

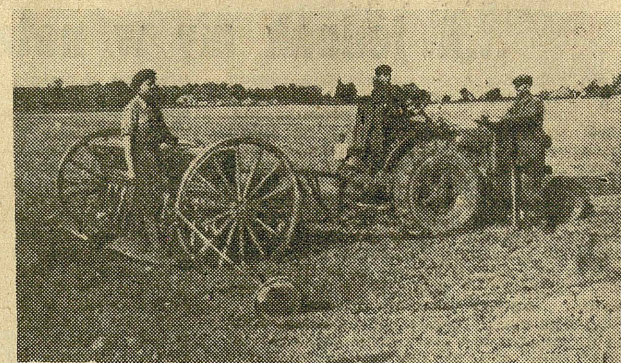
— A co wam za to robotę? — spytała nieśmiało Franiowa.

— Więcej jak 60 złotych nie zapłacicie, bo przecież hektara tu nie ma — objaśniał chłopiec. — A zapłacić możecie jak omlóciacie.

Po paru tygodniach, gdy nikt Franiowej ani jej chorego męża do „wspólnoty” nie ciągnął, stara u-wierzyła, że POM jest dla jej wy-



Wojtywa Edek przy kierownicy swego Zetora, z boku indywidualny rolnik, z którego śmiechu widać że jest zadowolony z pracy Edka.



jącej korzyści i dzisiaj sama rozpytuje się, co słychać u „pędziwiatrów” i kiedy do niej przyjadą. A co do założenia spółdzielni w naszej wsi to Franiowa nie byłaby z tych „najoporniejszych”.

*

Ze wszystkim co nowe, tak i z kopaczką do kartofli były u nas różne hece. W 1949 roku taka maszyna była nam nieznana. Raz jadąc PKS-em zobaczyłem ją obok przystanku autobusowego na polach PGR Janówek pod Mińskiem Mazowieckim. Był to rok 1950. Autobus akurat przystanął, więc ja na chwilę wyszedłem aby obejrzeć to cudo, za którym szło około 20 osób i zbierało ziemniaki. Podszedłem bliżej, pogadałem, a tymczasem sofer myślał, że pasażer na dobre wysiadł, dał gazu i już go nie dogoniłem. Teraz miałem już dużo czasu tak, że w Janówku musiałem zanoćować, ale ciekawości mej nie kłamałem. Skoro bowiem zostałem, zakasałem rękawy i pomagałem zbierać te ziemniaki, które maszyna wykopywała. Za to nad wieczorem powożąc kołmi pozwolił mi przejechać samemu tam i nazad, oraz zapoznał mnie z działaniem kopaczki.

Potem, po powrocie, myśl o kopaczce nie dawała mi spokoju, a kiedy dowiedziałem się, że w SOM-ie w grom. Jarnie jest kopaczka, ucieczyłem się. Ale zdobyć ją nie było tak łatwo. Bowiem kulaści lubią pierwsi spać śmiałką i oni te maszyny użytkowali. Po wielu staraniach, dzięki ZSL i partii, kopaczkę wydobyłem, ale u nas we wsi nikt jej nie chciał używać.

Mówiono, że zostawia ona 80 proc. ziemniaków w ziemi, że trzeba stu osób i kilku koni do jej uruchomienia i że pachnie to „wspólnotą”. Ojciec ani słyszeć chciał o kopaczce. Twierdził, że 50 lat kopie motyką i teraz też tak kopac będzie. Byłem i ja jednak uparty i postawi-

łem na swoim. Nie chciałem mi ojciec dać konia w dzień, wzięłem go w nocy. Przywoźłem kopaczkę ze wsi oddalonej od naszej o 15 km, ale i to ojca nie rozczuliło. Pół dnia prosiłem ojca mojej narzeczonej, Baidygę, o konia do pary, pół dnia tłumaczyłem matce i narzeczonej, że za maszyną idę i szybciej wykopiemy. W końcu po wielkich kłótniach rodzinnych zebrałem 6 osób i 2 konie. Wszyscy sąsiedzi niedowierzająco patrzyli na kopaczkę a najbardziej śmiał się Góral, bogacz wiejski. No, ale zaczęło się. Ruszyły konie, zawracała maszyna i poderwane ziemniaki strumieniem spływały w bok. W międzyczasie od sąsiadów przyszło jeszcze kilka osób, żeby pośmiać się ze mnie; byli to i kawalerowie i żonaci, i dziewczuchy i kobiety zameżne. Ojciec szedł z tytu za kopaczką i kopac motyką, znalazł zaledwie pięć ziemniaków. Ci, co przyszli, zostali porwani entuzjazmem i bez prośbienia poszli zbierać ziemniaki. Choć było za mało ludzi, do wieczora jednak wykopaliśmy ziemniaki u nas, a to samo ojciec zamierzał „grubać” w trzy motyki przez dwa tygodnie. Zaoszczędziłem 41 dniówek a za maszynę zapłaciłem 600 zł (tzn. 18 zł w nowej walucie).

Po tym doświadczeniu kopaczka długo pozostała w naszej wsi. Nie mogłem odpędzić się od tych, którzy chcieli ją mieć u siebie.

*

Wzrost bydła i trzody chlewnej uzależniony jest od bazy paszowej. Ale gdy chłop zbiera ożmie i jarre, a potem puszcza bydło na ten „pestewnik”, czyli na rzyśko, to skąd było może być wykarmione? A ziemia jałowuje. Wyczystały o tym w księżce rolniczej, szybko wprowadziłem u siebie zmiany na małym kawałku pola. Ojciec nie chciał się popopłonić. U mnie poplon się udał, ziemia była żyzniejsza, było mało co jeść, ojciec żałował swego uporu, ale robił to co wszyscy.

Z tęciem moim było podobnie. Słuchać o „nowym” nie chciał, wierzył, że co stare, to już dobre. Ja podorałem traktorem z POM-u i zasiąłem mieszankę seradeli z owsem jako poplon, u tęcia wyrosła spora łopucha. Cieszył się jeszcze. — Nic nie siałem — powiedział do mnie — a mam gotową „zielonkę”. Nie tak jak ty.

Puścił mój tęć, Baidyga Jan z gromady Grudnie, na tę „zielonkę” było i dobra mleczna krowa pekiła, bo ją wzdęło od tych chwastów. Przeklinał tęć swój „poplon”, przeklinał, ale było za późno. Ja u siebie zebrałem parę fur zielenki i zwiększyłem mleczność swych dwóch krów o 6 litrów dziennie.

*

Pytacie, czemu jeszcze nie jestem w spółdzielni produkcyjnej? Nie jestem, ale będę. Już samo stosowanie maszyn jest dobrodziejstwem, ale ziemię trzeba inaczej podzielić. Muszą zniknąć miedze i krótkie zagoniki. U nas tacy gospodarze jak Bogusław Paczuski, co ma 2 ha ziemi, Sylwester Sulikowski (8 ha) Gierowski, Roguski i inni myślą podobnie jak i ja. Czeka mnie jeszcze przeprawa z ojcem i nie jedna pewnie, ale pocieszam się, że nie jestem odosobniony, bo inni młodzi gospodarze mają to samo ze swymi rodzicielami.

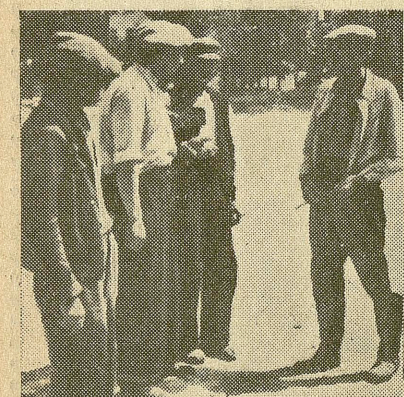
U nas w okolicy są spółdzielnie, a więc ZUZ w Poszewce, RSW w Warcholach, RSW w Miedźni, Tończy, Popielewie.

Będzie i u nas. Przekonamy rodziców jak przekonałmy ich do stosowania nawozów sztucznych, traktorów, maszyn. To właśnie nasi sojusznicy — a obecni są nie tylko na polach, ale w głowach i sercach naszych ojców.

Bronisław Piątkowski

WACŁAW KOSOBUCKI

Nowa geografia gospodarcza i społeczna naszej okolicy



PISZĘ z powiatu Bartoszyce (woj. Olsztyn). Jak wygląda geografia naszej okolicy? Powyżej mojej wsi Łabędziewo, o kilometr, dwa na północ, leży wieś Sokolica, w której wiosną 52 r. zorganizowała spółdzielnię produkcyjną ponad 30 rodzin. Zaraz za Sokolicą — Grodówka, tam również powstała w ubiegłym roku spółdzielnia. Za Grodówką trzecia spółdzielnia w Wiatrowicach, założona jeszcze w 49 r. A za nią Bykrowy, tu w 50 r. powstała spółdzielnia pierwszego typu. Na północ zatem i wschód nie ma prawie indywidualnych wsi. Podobnie na południe Łabędziewo. Tu są cztery PGR-y i jedna spółdzielnia, Michałowo. Na Michałowie kończy się granica gminy.

Taka to jest geografia budowy socjalizmu w naszej gminie.

Nasza wieś jeszcze indywidualnych gospodarzy, choć... ale o tym później. Najpierw opiszę geografie domów i gospodarstw w Łabędziewie. Są tu ludzie z różnych stron kraju. 3 rodziny spod Sanoka, 10 z Warszawskiego i Lubelskiego, 7 z Wileńszczyzny. Wileńskie uparte jak kozy, a flegmatyczne, do tych i ja się zaliczam, sanockie, jakby wystraszona ale zgrane jak Czesi. Warszawskie i lubelskie bardziej mają na widoku dziś, jak jutro. Tak to było na początku. Z czasem różnice się zatężyły. O nas np. mówili inni, żeśmy z „głupich wiosków”, bez kultury. Prawda, że nam było ciężko na początku. Ja przybyłem w 46 r., pracowałem w PGR-rze do 48 r. Wtedy wzięłem gospodarzkę lichą z jedną krową. Drwiono ze mnie — co poradzi taki biedak, żebrak i parobek? Poradziłem dzięki pomocy Państwa Ludowego. Na kredytach zacząłem, ale odpowiedzialnie i mam teraz 2 krowy, 2 jałowniki i 2 konie. W ubiegłym roku na skup zboża w wysokości 16 q dałem 30 q, a swin 4.

Podnosić i ulepszać gospodarzkę czytelnie się z książek, gazet i z praktyki innych. Dużo zawdzięczam

obecnemu sekretarzowi KG PZPR, Kaczyńskiemu. Czytał on broszury, związane z rolnictwem i gospodarstwem postawił na wysokim poziomie. Kaczyński pierwszy siał rzepak, len, koniecznie, to wszystko, co przynosi dochód i rozwija wzajemnie zbożowe i hodowlę. Brałem z niego przykład. Kaczyński tak wysoko podniósł gospodarstwo, że musiał nająć pomoc stałą. Ale wtedy postawił krzyżyk na takiej drodze, zdał gospodarstwo w 50 r. i całkowicie oddał się pracy politycznej.

Za gospodarstwem Kaczyńskiego mieszkał Wierzech, też dobry rolnik, ale jego ambicja było pójść w górę do pracy społecznej. Wybrał się go najpierw na soltysa, później do gminnych władz, obecnie pracuje w KW PZPR w Olsztynie. Gospodarstwo również zdał.

500 metrów od Karpińskiego, naszego soltysa, mieszka Mackiewicz. Chłop to teraz bogaty, choć przybył bez niczego. Ale miał siłę roboczą w rodzinie, córki 3 i 2 synów dorodłych. Został odpowiednio zabudowania i maszyny, otrzymał parę silnych koni. Toteż on obsiewał 20 ha a nie tak, jak my 9 ha. Samej pszenicy w 52 r. omlócił z górą 70 q. Do tego w latach 46-8 stałe był w gminie i powiecie, gdzie miał we władach krennych i kolegów. Kiedy w tych czasach, tacy jak Rudkowski, ja i Budkiewicz zgłaszaliśmy się po zakup jednego konia, Mackiewicz, Zawadzki i inni „lepsi” gospodarze dostali wówczas po dwa konie. Wójtami wówczas byli Dwornowski i Zabielski. Zabielski pokazał raz jeszcze, co potrafi, w spółdzielni produkcyjnej w Sokolicy jako jej przewodniczący. Zrucił go spóldzielcy z przewodniczącego. Słusznie, o tym dłużej — napiszę dalej.

Za Mackiewiczem mieszka Zawadzki, (to już jest na kolonii, 2 km ode mnie). Stary chłopina, a ma 5 dzieci w szkolnym wieku. Gospodarczy umieją. Najbliższe mnie — Deluga Franciszek. Pędził przed laty bimber, ośdział swoje. Sam nie pije, chorowity. Ma 5 dzieci. Syn 18-letni uczył się na traktorzystę w PGR. Córki wyglądają mizernie. Deluga dobrym rolnikiem nie jest.

Dalej — Borys Michał, 80-letni starzec. Ma 3 synów i córkę powyżej 20 lat. Synowie są szwacami i muzykantami. Mikołaj prowadzi gospodarzkę, pomagając ojcu. Ludzie to ostrożni (spod Sanoka), jak nie uzgodni Mikołaj ze starym: nie wie — kiedy pytać — ile u nich zasianego. Nie przysięgam, opisuję tylko.

Za nimi Karol Rudkowski. Ma 9-cio dzieci, nie był rolnikiem ale szwaczem wiejskim od napraw. Przeniósł się z gospodarstwa w 52 r. na PGR, miał najwyższy podatek

a był najbiedniejszy, bo i popiół lubił.

Kumplem jego był Piotr Małachowski. Dzieci nie ma, gospodarstwo prowadzi dobrze. Więc, że ma duże dochody zabawić się lubi, do bittki skory i sztyliwy (o tym wspominał w oparciu o ocenę innych chłopów, o czym później).

Dalej mieszka Złotucha Józef, lat 66, ma 9 małych dzieci, wygląda bardzo młodo i niejedną z chłopków za nim nie nadają. Tam też mieszka Ludwik Kożuchowski z wileńszczyzny. Miał tam 25 ha. Gospodarzem on dobrym nie jest, ale najlepiej stoi w całej wsi, choć obrabia tylko 10 ha. Człowiek to zmyślny, nie przepuści żadnej okazji. I tak — był filiarzem zlewni mleka w naszym Łabędziewie. Powiadają, że nie oberzelo się bez... zapasów. W latach 47-8 był w komisji rozdzielczej Czerwonego Krzyża. Wówczas ja — jeszcze jeden z biedaków — dostałem czapeczkę dla dziecka, albo kawałek mydła, a przecież przychodziła skóra, sukienki itd. I Kożuchowski mimo 64 lat, wygląda młodo. Zona jego czerwona i obfita; twierdzi, że to z powodu serca...

Oto przegląd ludzi, którzy w mniejszym lub większym stopniu mają wpływ na gromadę, a nawet dalej. Różny to wpływ i dobry i zły. Nie opisałem tu wielu skromnych i pracowitych a podrasztających do jutrzejszego życia. Pokażą oni jeszcze swą siłę i wartość.

*

Teraz wróćmy do sąsiedniej Sokolicy, gdzie powstała w zeszłym roku spółdzielnia produkcyjna. Najpierw było 2 chętnych: Morkowski i Jakubowski, potem 7-miu, wreszcie 14. Pokoń z nich stanowią biedniacy, tacy jak Turkiewicz, Góral, Dzwiniel, Morkowski, Hajdukiewicz, druga — zamożniejsi, jak Romanowski, Wojciechowicz, bracia Baidyni i inni.

Wywiązała się walka, bo duża część zamożniejszych nie chciała słyszeć o spółdzielni.

Ala biedota miała wpływ. Romanowski i inni nie zlekki się pogroź. Wiosną 52 r. podpisano statut III typu. Dopiero teraz okazało się, jak kruchą i wydetą była wściełość wrogów. Gromada ruszyła hurmem do spółdzielni. Z 14 wkrótce cała wieś stała się spółdzielczą. Ale w tym zwycięstwie utopiono czynność i popelniono błędy. Bo obok reszty błędów i wahających się średniaków przysięgło opozycję, która później zdemaskowała się jako klika zauszników kułactwa, Paszkowskiego, Suchodolskiego, Gruszewskiego i kilku innych. Co gorsze, dopuszczono ich do zarządu. Robota od razu zaczęła kuleć, gdyż ci pa-

nowie, mając po 2 konie, kilka krów, uprzęż i narzędzia rolnicze, posprzedać wszystko, zachowując po 1 koniu. Wprowadzili pijaństwo i niedbalstwo. Siewy się udały dzięki ofiarnej pracy POM-u. To on orał, siał i bronował. Zarządem spółdzielni kierował Zabielski, były wójt naszej gminy. Znamowiano konie w stajni wspólnej, nie dopilnowano bowiem wnieślenia paszy. Zarząd dał zdradziecki przykład siania na boku na swoim i na bezpańskim dla siebie aż... w Łabędziewie. Zniwa zapowiadały się obfite. POM przysłał 2 snopowiażki z ciagnikiem, ale remont nie był dobry. Zboże dwa tygodnie leżało w polu. Mobilizację podjął kierownik szkoły, tow. Kaspark z dziećmi szkolnymi i zwiędli. A kobiety w tym czasie układały wymyślne fryzury i na gwałt kupowały nowe sukienki. Na swoich kawałkach, owszem, sprzątnęli mięciem Paszkowski „ze swojego” namłócił aż... 100 q.

Po takiej gospodarce zarządu walne zebranie zdjęło Zabielskiego i zmieniło zarząd. Przewodniczącym został Wojciechowicz. Obecnie jest na kursie półtoramiesięcznym. Gospodarka zespołowa wymaga wiedzy fachowej i organizacji, a nie błagi wapiących w przeszłości działaczy.

W bieżącym roku Sokolica na pewno się podciągnie. Opisałem jej pierwszy rok. Prasa wojewódzka poddała krytyce całą działalność zarządu panów Paszkowskich i innych.

Błędy uczyć i wzmacniać siły, kiedy się je przeżywczyły. Wpływ błędów, mimo szkodnictwa panów z zarządu, które mogło zniechęcić średniaków, okazało się mocniejszy. Widać to na przykładzie Romanowskiego. Na nim to psy wieszały „zamożni”, że przyszedł do komunizmu, a Romanowski, choć był chłop zamożny, syna dał do POM-u, drugiego na poczęcie (córki małe), a sam w spółdzielni wypracował najwięcej dniówek.

*

Jak oddziaływał na naszą gromadę pierwszy rok gospodarki spółdzielczej w Sokolicy? To już nie jest czas, kiedy byle drobniak wywoływał sensację i do rozsądnego rozważania nie można było ludzi nakłonić. Sokolica na naszych oczach skompromitowała wroga klasowego... Diabeł zawsze jest przebrany i nie trzeba szukać rogów i ogona. Poznaje się go w robocie. „Zamożny” zarząd w karygodnym niedbalstwie, pijaństwie, wyprzedaży inwentarza i pilnowaniu „swego” pokazał robotę PRZECIW spółdzielni. Biedota też lekce wytrzymała wraz z solidnymi średniakami i naukę właściwej wyciągnęła. Takiego obrachunku

„Błąd tych towarzyszy polega na tym, że przeciwstawiają kolchozy indywidualnym gospodarstwom chłopskim. My zaś chcemy, aby te dwie formy gospodarki były nie przeciwstawne sobie, lecz by sprzegały się ze sobą, aby w tej spójni kolchoz udzielał pomocy indywidualnemu chłopu i pomagał mu powolutku przechodzić na tory kolektywizmu”.

(Stalin)

Sokolicy nikt u nas w gromadzie nie zamaci i nie przeinaczy. Daje on dużo do myślenia tym, którzy by próbowali pójść w ślady panów Zabielskich i Paszkowskich. Znamy już taką metodę. Średniakom porządny mówi wiele przykład ofiarnej pracy i wiary Romanowskiego. A w ogóle, dawna biedota, choćby z posagiem średniakim (jak to np. jest ze mną) nabiera na znaczeniu, szczególnie, kiedy dojrzewa politycznie, a w pracy rolnej i obowiązkach świeci przykładem.

Jeszcze inaczej a najkrócej określę wpływ Sokolicy. W 1952 r. powstał u nas w Łabędziewie Komitet Założeńskich (Karpiński, soltys — sekretarz organizacji partyjnej, ja, Deluga, Małachowski, Niekonieczny, Borys) a teraz jest już w Komitecie 10-ciu (Karpiński, Deluga, Szymus, Wiewiór, Małachowski, Chmielewski, ja, Bejnorowicz, Pakula, Broda) i szukujemy się do zorganizowania spółdzielni.

*

Wielką rolę odegrała u nas kampania przedwyborcza do Sejmu. XIX Zjazdem KPZR interesowali się wszyscy, a większość wyciągnęła wnioski, że musimy zmoczyć wydatność z ha, dla wzmocnienia obozu pokoju i rozwoju w nim socjalizmu w krajach, jak nasz wyzwolony, co zawiadzamy Armii Radzieckiej i narodem Pierwszego Państwa Socjalizmu. Kiedy wybrano w USA na prezydenta Eisenhowera, dużo u nas ludzi mówiło — to ten kat z Korei, co chce nowej wojny. I wnioski wyciągali takie — trzeba spółdzielni, aby wzmocnić kraj, trzeba zdobyć się nawet na duże ofiary, aby przyspieszyć rozwój naszego przemysłu i gospodarki narodowej. A tak sobie tę myśl rozwijał... Kiedyśmy tu do Łabędziewa zjechali, w większości niewiele więcej posiadając niż tobolek, zastaliśmy ugory, osty i perz. Każdy wtedy żył jednym celem, aby te ugory, chwasty, perz wytrawić z pol i zasadzić chleb obfity. Obecnie mamy po parę koni, po 2-4 krowy. Biedny Pakula przybył z centralnej Polski z chudą krowką, teraz ma 2 krowy i 2 konie. Wiewiór Jan, Szymus Konstanty i wielu im podobnych biedaków, którzy w pierwszym roku zbierali najwyżej 20 q zboża z 9 ha, już w drugim 30 q, a już w 1950 r. zebraliśmy z 6 ha — 70 q, w 1951 r. z powodu posuchy — 50 q a w ubiegłym — 80q. Ale

uważam i tak rozumuję wielu, że nasze osiągnięcia to dopiero połowa tego, co mogłoby być. Ale w pojedynkę gospodarząc celu tego nie osiągniemy ani w zbożu, ani w okopowych ani w bydło. Krowa jak dawała 10-15 litrów mleka dziennie, tak daje, a powinna już być zastąpiona krową, z której dziennie bierze się 30 l. Bejnorowicza krowy dają 20 l. dziennie. Znaczy, że można tę cyfrę osiągnąć a nawet bardzo przekroczyć ale nie w pojedynkę. Bo to, co u nielicznych jest szczytem, stałoby się w spółdzielni podstawą wszystkich.

*

Nasz Komitet Założeńskich pracuje więc dla przyszłości. A jest nad czym się pogłowić. Jedna sprawa to — członkowie. Sądzimy jednak, że jeśli nie wiosną, to jesienią będziemy w spółdzielni mieć całą gromadę, oczywiście za wyjątkiem paru takich, jak Kożuchowski, Złotucha, Budkiewicz... zamożnych, a mówiące delikatnie, nieprzychylnych. Druga sprawa — to ubezpieczenie rozwoju gospodarczego spółdzielni a brak nam zabudowań pod wspólny inwentaryzacji i pastwisk. Co do łąk i pastwisk, to mi, po głowie chodzi taka myśl. Obok nas jest wieś Szporwiny, był tam kiedyś majątek, mają więc budynki i mają też łąki a znów Drawień, gdzie jest spółdzielnia, graniczy z naszą. Tu mają olbrzymie przestrzenie pastwisk i łąk. W przyszłości więc mogłoby te trzy gromady — spółdzielnie stopić się w jedną dużą. Ale teraz z sąsiadem — spółdzielnią należałoby już wejść w jakieś zgodne z prawem porozumienie co do tych łąk. Tak sądzę.

Trzecia — są głosy ze wsi, wysuwać ją Świątek, że trzeba nam samym dać wkład: krowę, 2 konie, świniaka, paszę, ziarno itd. Trzeba się upewnić, jaką rezerwę sił my Komitet, reprezentujemy. Trzeba ją ułomnie i zdyscyplinować, bo już jedna żona mówi, że pół dnia będzie robić, druga — nie wymienię, ale wymienię moją, która rok temu spółdzielni była przeciwna, teraz obecnie odpowiedzialnie, że wyjdzie co dzień do roboty a też nie jest zdrowa i ma troje małych dzieci. Wyjdzie Chmielewska (też troje małych dzieci), wyjdzie Szymusiowa itd.

Tak to się sposobimy do nowego życia nowej Ludowej Polski.

Wacław Kosobucki

WOJCIECH DRYGAS

SPÓŁDZIELCY AGITATORZY

Maria Piekarska uparła się, żebym rozpoczął mój reportaż malowniczym obrazem karczmy pod „Błaszaną kozą” i na jej tło, osadzone w ramkę stuletnich buków, wprowadził postać samego Ignaczaka. W owych czasach, gdy karczma i panowała jeszcze na skrzyżowaniu dróg w Wojszycach, zwykłe miejsce Ignaczaka było za kontuarem, gdzie tykał dostojnie ciemne piwo i grzał oberżysty „zechciga”. Któregoś dnia wspólnymi siłami ściągnęli na ziemię szyl z blaszaną kozą i wytoczyli z knajpy baryłki po piwie. Na pamiątkę tych czasów zostawił jeno nastrojowy „landszajt” z tabedziem, gondolą i korpulentną dziewczką w peniarze, oraz napis ostrzegający w wejściu: „Kredytu nima — bez pracy nima kolaczy!”

Ten niecodzienny akt deportacji był — według przekonania Piekarskiej — o tyle godny zarejestrowania, że stanowił on dla Ignaczaka nie byle jaką okazję do obwieśczenia w sposób oficjalny swej słynnej deklaracji politycznej. Uginając się w plecach pod ciężarem owej blaszanej kozy, Ignaczak oświadczył jednym tchem: „Niech o nie nie myślą, że się zalamujemy, padła tu dzisiaj twierdza, lecz myśmy się jeszcze ostali i, jakimś Ignaczak, popamiętajmy nas, tak nam dopomóż święty patronie od rzeczy zaginionych!”

Piekarskiej przerwał niecierpliwie Bolesław Politowicz:

— Ej, kobito, nie zapominać, że karczma i Ignaczak — to twoja osobista sprawa. Nie mieszaj osobistych spraw, ze sprawami spółdzielni. Zresztą nie ma już karczmy — jest świetlica. Dobra świetlica. A Ignaczak? Ech, szkoda każdego słowa... Chodzi przecież o rzecz ważniejszą — o cały nasz zespół. A jak już mowa o zespole, to ten obywał — wymowny gest w moją stronę — musi zacząć swoje pisanie od tego łanu z pszenicą i żeby było, wiecie, podbudowane ekonomicznie, musowo z cyframi. Cyfry przemawiają... Od tego łanu przecież się zaczęło? No, powiedzcie sami, nie zaczęło się?

Milczący dotąd Jarochowski wtrącił:

— Mnie się wydaje, że sprawę należałoby wyjąć tak: najpierw po-

każać jak się nasza spółdzielnia organizowała, przedstawić trudności i wspomnieć o pozyskaniu dwóch nowych członków — Leszczyńskiego i mnie. Oj, to było duże zwycięstwo! Gdy dzisiaj o tym pomyślę... A za nami przyszło 12 dalszych chłopów. To już był sukces.

— Czekaj, czekaj bracie — rąbnął basem Politowicz. — A może mi tak powiesz, co ci niby skłoniło do wstąpienia na drogę spółdzielczą? Nie czasem ta pszeniczka? He?

Zanim tamten zdolał odpowiedzieć, w milczącą przerwę wtargnęła rozeźlona Piekarska:

— Niby od kiedy to ten Ignaczak to moja rzecz? Niby od wtedy jak u niego pracowałam? A potem co? Potem już nic się nie liczy? Zebys

Golebiewski trzącał mnie porozumiewawczo w ramię. Zrozumiałem go. Każdy z tych ludzi dzierał z kalendarza kartki własnej historii i każdemu z nich należał się osobny rozdział. Nie sposób było pomieścić ich wszystkich w skromnych ramach reportażu. Z tego jednak, com był przed chwilą zastyszał, można było wyciągnąć już konkretne wnioski.

A więc najpierw łan z pszenicą — 12 ha w dużym prostokącie. Wówczas POM w Bednie miał kiepskiego dyrektora i słaby wydzał polityczny. Kiedy przewodniczący spółdzielni Golebiewski powrócił z kursu i dowiedział się o hecy z opieszałym wyremontowanym traktorem, powiedział: „Jedni rosną szybko —



tak jeden z drugim arbuza pokłaniał.

Wyjmując papierosa i chowając go z powrotem do paczki, jakby mu wspomnienie o Ignaczaku obryzdało nawet palenie, Politowicz odpowiedział:

— Ignaczak — to Wojszyce, a my jesteśmy przeciw Bednie. Zresztą może być również o Ignaczaku, ale na samym końcu, żeby było jak w Kalendarzu — jedno po drugim...

Na pierwszej kartce kalendarza jest Ignaczak — zaproszono go kartkę, najdłuższą w moim życiu, długo przez niego się wałamał. Oj, głupia ja, głupia... Zapamiętaj moje dzieci, one ci powiedzą, gdzie był chleb najtwardszy...

W miarę pogłębiających się sprzeczności w gronie moich rozmówców, stojący obok Franciszek

drudzy wolniej, lecz my musimy rosnąć w takim tempie, żeby ludzie z gromady nie nadądzali za naszymi krokami, żeby dostali zadyski i pozwolili się nam pociągnąć za sobą”.

Golebiewski pogrzebał w swoich notatkach, zapisywanych maczkiem na kursie i wygrzebał stamtąd... siew krzyżowy. Ki diabeł? Chłopi pokładali się ze śmiechu, bo jak tu się nie śmiać, gdy widzi się kilku szaleńców, drających się za siewnikiem „w te i nazad i znowu na odkrywkę z prawej ku lewej”... Średniorolni Jarochowski i Leszczyński strolchił miaple miny. Trzeba było mieć się diabliem na baczności i nie poddawać się ludzkim odruchom. Tadeusikowa chciała im zaświecić podkaszanką kielką, ale usadził ją Politowicz:

— Patrzcie-no, partyjniaczka, a

„Kobiety w kolchozach — to wielka siła. Utrzymywać tę siłę w bezruchu — znaczy to popełniać przestępstwo. Nasz obowiązek polega na tym, żeby w kolchozach wysuwać kobiety naprzód i uruchomić tę siłę”. (Stalin)

nie wie, że do pracy politycznej służy nie tylko obrotna gęba ale i drukowana książka?

Pojechał Politowicz z siewnikiem do Jarochowskiego. Obsiał mu krzyżowo 25 arów. Tak na próbę. Większej ilości ziemi średniak nie chciał ryzykować. Nie minęło jeszcze 10 miesięcy, a już wniósł podanie o przyjęcie go do spółdzielni. Z 25 arów zebrał 7,5 kwintala pszenicy, z reszty, brakującej mu do pełnego hektara, obsianego po staremu, zaledwie 12 kwintali.

A w spółdzielni? 26 kwintali pszenicy, podsypane zaś granulowanym superfosfatem żytko wydało 22 kwintale, jęczmień — 25 kwintali.

Za Jarochowskim zgłosił się na wspólne Leszczyński, a za jego przykładem, w krótkich odstępach czasu, 12 innych gospodarujących dotąd indywidualnie. Wtedy w tożną spółdzielczą organizację partyjnego zrodziła się śmiała myśl, wybiegająca daleko poza horyzonty. Było to na którymś z zebrań otwartych. Golebiewski odmierzył na mapie pow. kutnowskiego równe 27 km. Czerwona linia przecięła 8 wsi, aż zatrzymała się dopiero w Wojszycach. Politowicz powiedział:

— Musimy zdobywać je systematycznie!

Golebiewski poprawił go: — Musimy zdobywać je frontalnie i z flanki. Kto podejmie się stworzyć PARTYZANTKĘ w Wojszycach?

— Przeciw komu partyzantkę? — spytał niepewnie Politowicz.

— Ano już ci — poderwała się Piekarska — przeciw kulakom, przeciw Ignaczakowi... Mnie wybiercie. To mój teren — trafię po ciemku. Wybierzcie mnie, moi mili.

Golebiewski obliczył sity. Stworzono trzy grupy agitatorów. Na czele pierwszej Golebiewski, drugą miał poprowadzić Politowicz, trzecią kierował Jarochowski. Piekarskiej przypadł najtrudniejszy odcinek. Miała działać sama. Pojechała do Wojszyc w tym samym dniu.

„Błaszana koza” bodła, pluła ośszczerstwami i nie dawała za wygraną. Po kilku dniach Piekarska przyleciała do swoich w Bednie. Dzieciśka zdrowe? Nie trza im cze-

goś od matki? Dzieciśka czuły się znakomicie pod troskliwą opieką Tadeusiakowej i panienki z przedszkola spółdzielczego. Ino pastego mleka... Piekarska wróciła uspokojona na pierwszą linię walki. W tydzień później Golebiewski przyjął od niej telefon: „Moje kobiety z kota gospodyń chcą zwiędzić naszą spółdzielnię. Przyjedźmy zrana podwódrą, uszykujmy jakieś śniadanie!”

Użytkowali na szesnaście, ale przybyło jedenaście, pięć odcignęła w ostatnim momencie „Błaszana koza”. Lecz był to jej ostatni, przedśmiertny taniec. Bo zważając ino dobrze: z Wojszyc wyjechało podwódrą jedenaście nieufnych i targanych wątpliwościami gospodyń — z Bedna powróciło w rodzinne pielesze jedenaście agitatorek. Stuznie więc również mówił Politowicz, że cyfry przemawiają do ludzi. Bo gospodynie policzyły wszystko co mieli w oborze, chlewni, spichrzach, na działkach, przyzagródnych, w komorach... Na cyfrach oparty swą prostą kalkulację.

Na tym skończyła się rola Piekarskiej. Wróciła do dzieciaków, stęskniona, kochająca — urządzić się w nowożybudowanym jednokondygnacyjnym domku. Walkę podjęło tamtych jedenaście. Spadła z wysokości blaszana koza, Ignaczak miał okazję do oficjalnego wygłoszenia swego programu.

O! i cała historia — powiedział nagle uścisła i głośno Golebiewski. — A teraz reasumując: komitety założycielskie powstały w Stanisławowie, Florianowie, Orłowie, Drzewoskach, Zeroniu, Anetowie, Sójkach, Baranówku, nowa spółdzielnia produkcyjna miesiąc temu w Wojszycach.

— A cóż z Ignaczakiem? — spytał.

— Ignaczak? No, cóż! Czy tylko on jeden na 27-hektarowej trasie Bedno — Wojszyce? My z własnej praktyki wiemy, że nie wystarczy założyć spółdzielnię, czy komitet założycielski, trzeba się nimi w dalszym ciągu systematycznie opiekować. Trzeba odgrządać je od wpływu niedobitych jeszcze Ignaczaków. I dlatego my, spółdzielcy z Bedna, CZUWAMY!

Wojciech Drygas

Z listów...



Józefa Andrzejczak z córkami

GOSPODARKA sła mi ciężko, gdyż jestem wdową i brak było męskiej ręki do prowadzenia gospodarstwa. W 1949 r. zaczęto zakładanie w Szczawniku spółdzielni produkcyjnej. Fakt ten wywołał wiele rozgłosu i domysłów. Ja też bałam się początkowo, że w spółdzielni będzie źle, że nie zarobię na utrzymanie siebie i dzieci. Jednak za przykładem innych, jako jedna z pierwszych, podpisałam statut i zostałam członkiem spółdzielni. Ale wroga propagandą była wtedy jeszcze tak silna, że nawet podpisując statut płakałam, bojąc się swego kroku.

Wymiki nie daly długo na siebie czekać. Przekonałam wszystkich, że praca nas kobiet jest równa pracy męskiej, czego przykładem, że osiągnęłam jako dojarka z początku równy, a następnie większy udój mleka, niż dojarz męczyzna.

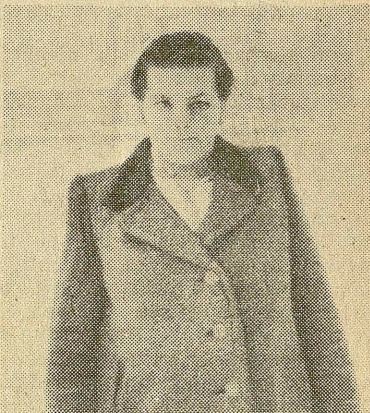
Obrócić w roku 1952 wypracowałam 345,75 dniówki obrachunkowe, za co uzyskałam 8,288 zł. 88 gr., oraz 173 kg żyta i 380 kg pszenicy.

Z działki przyzagródowej w roku 1952 uzyskałam 2,000 kg ziemniaków i 1,500 kg buraków. Działka zabezpiecza więc paszę dla mego inwentarza, a posiadam 2 krowy i 3 świni. Ja, wdowa z dwoma córkami żyję wesoło jak człowiek i obywatel.

JOZEF ANDRZEJCZAK

RZS Szczawnik

pow. Wałbrzych



Wiktorii Kopacz

KIEDY wstępowałam do spółdzielni produkcyjnej byłam jedną z tych, które baly się spółdzielni. Myślałam, że nie nie zarobię, że będę głoda, bosa i głodna. Inne kobiety też tak myślały. Zie ustosunkowane do spółdzielni, nie wychodziłyśmy do pracy i wrogo odnosiłyśmy się do meźów. Tak było na początku. Później się okazało, że praca w spółdzielni jest dużo prostsza i lepsza niż w gospodarstwie indywidualnym. Każdy pracował może według zamiłowania i ma możność wyspecjalizować się. Ja jako dojarka zdobyłam już dużo wiedzy z dziedziny hodowli, tak samo inni. Jak Koldyka Józef, który został przewodnikiem weterynarii, jak Pinkowski, który pracuje rzetelnie dwa lata w oborze, Baranowski, który służy, Lipowicz Władysław, pracuje od goź. 3 rano pora wiośenną do goź. 8 wieczór. Jest szwajcarem. I tak tych krów pilnuje, jak swoje dzieci.

Dniówka obrachunkowa w ub. roku wypadła 11 zł gotówką i 8,44 kg zboża. Za zarobione pieniądze ubierałam 4-6 dzieci, meża i siebie. Zboża miałam ok. 6.000 kg. Wykarmiam 3 zakontraktowane świni i dwie zabijam dla siebie. Najstarszy syn mój uczęszcza do średniej szkoły w Świebodzinie, drugie do szkoły powszechnej, a najmłodszemu chodzi do przedszkola. Z działki przyzagródowej miałam ziemniaków i jarzyn na cały rok. Maż teraz ceni moją pracę i zmienił się jego stosunek do mnie. Dawniej traktował mnie jak kogoś niższego. Dziś razem pracujemy, traktuje mnie tak, jak traktuje się kobiety w Polsce Ludowej, szanuje i poważa, bo praca kobiet w spółdzielni oceniana jest tak samo jak praca mężczyzn.

WIKTORIA KOPACZ

Szczaniec

pow. Świebodzin



Agnieszka Szwiec

PRACUJE trzy trzodzie chlewnej, pomagam im syn Edward. Pracę tę rozpoczął przy dziesięciu sztukach świń, a wyhodowałami przez 18 miesięcy 200 prosiaków. Na planowy skup żywcia odstawiłm 60 w wadze przeciętnej 130 kg. Jako chlewniarki uzyskałam dyplom uznania. W roku 1952 wypracowałam 500 dniówek obrachunkowych z samej chlewni a jeszcze w żniwa słałam w pole, gdzie również wypracowałam 100 dniówek, syn Edward pomagając mi przy świinach wypracował 100 dniówek, maż mój 250 dniówek. Razem w troje wypracowałyśmy 850 dniówek. Za to otrzymałam przy rozliczeniu, w dniu 21 stycznia 1953 r. 90 q zboża, w tym 600 q żyta, 15 q pszenicy, 10 q jęczmienia, 5 q owsa, 14 q siana, 20 q buraków, 20 q ziemniaków i gotówkę 4.000 zł.

Zrozumiałam wyższą formę gospodarki socjalistycznej więc zapisałam się w styczniu na członka i wczorajm wszystkim żony, żeby wpisyły się ze mną. Kobieta kiedy nie korzysta z prawa członkowskiego, nie ma głosu na zebraniu nie ma ulg członkowskich, jest dużo strata.

AGNIESZKA SZWIEC

Stanisławice

pow. Sławno

TEOFIL KOWALCZYK

Oto gdzie wróg sięga...

ROLNICZY Zespół Spółdzielcy w Szczawnie Zdroju powstał w listopadzie 1950 r., przewodniczącym został Gajewski Stanisław, na grupowego powołano Mickiewicza Leona. Większość członków rekrutowała się ze średniaków. Do biedyto należeli Wojtyński Marcei, Hilger Władysław i Mickiewicz Piotr (nie krewni!)

Wszystko zapowiadało się jak najlepiej. W styczniu 1951 roku uchwalono plan zasiewów wiosennych, przeprowadzono orkę i siewy. W okresie pierwszych 4 miesięcy członkowie spółdzielni wyrobili 2561 dniówek, to jest ściśle po 33,5 dniówki miesięcznie. Zbiory zapowiadały się bardzo dobrze. Zboża wyrosły ładne, kartofle powschodziły bujnie. Spółdzielcy cieszyli się szczerze. W maju stawiano piękne horoskopy jesiennym zbiorom. Wyplacono członkom zaliczki na dniówkę obrachunkową po 10 zł. Mickiewicz Piotr i Wojtyński zacierali ręce. Hilger jako kowal zespołu pracował w kuźni ze zdwojoną energią. Naprawiał i szyczał od żniw sprzęt rolniczy. Liczone, że dniówka obrachunkowa wyniesie 20 zł.

W czerwcu pokoszono łąki. Siano było piękne. Prażyło się na słońcu już dwa tygodnie. Nadchodził czas żniwki. Ale zarząd spółdzielni nie dawał sygnału do roboty. Nie widać było ani Gajewskiego, ani Leona Mickiewicza. Barometr wskazywał, że zbliża się okres deszczów. Spółdzielcy zaczęli się niepokoić.

— Gajewski pije! — rozeszło się po zespole.

— Gajewski zamieszkał u Mickiewicza. Porzucił żonę. — Kobiety chodziły z wypiekami na twarzach. — Ktoby to przewidział! Dobiegał przecież pięćdziesiątka. Co mu strzeliło do starego łba?

Siano było suche jak pieprz, z nieba mógł lunąć lada dzień deszcz, a przewodniczącemu zachciało się właśnie amorfów. Piotr Mickiewicz poszedł na zwiaży.

Zastał Gajewskiego u Wilkowej. Byli przepici i raczyli się mlekiem. Piotr zauważył, że mleko znajdowało się w spółdzielczym wiadrze. Jako magazynier Zespołu widział w raportach spadek wydajności mleka u krów, ale głębiej się nad tym nie zastanawiał. Teraz patrząc na pełne szklanki w rękach Wilkowej i Gajewskiego nie potrafił opędnąć się natrętniej myśli, że niższe cyfry w raportach udojowych mają bardzo realne przyczyny. Gajewski mieszkał u Leona Mickiewicza. Anna Mickiewiczowa pełniła funkcję chlewniarki. Oborowa była Wilkowa. Spółdzielcze krowy znajdowały się w zabudowaniach Mickiewicza.

— Towarzyszu przewodniczący, siano wyscho. Czas żniwki.

— Do grupowego z tym! To jego sprawa.

Ale Leon Mickiewicz był również pijany. Leżał w domu i nie mógł wydać żadnej dyspozycji.

— Schlali się. Każdemu chłopu to się zdarzy. — Kobiety były innego mnienia. Ale mężczyźni nie zwracali na nie uwagi. Po krótkiej naradzie postanowiono zwozić siano. Wojtyński, Hilger i inni ujęli zwózkę w swoje ręce.

— Członkowie Zespołu trzęśli się z oburzenia, ale nie wszyscy. Niektórzy zachowywali dyplomatyczne milczenie. To byli ci, którzy bliżej żyli z Mickiewiczami, Leonem i Anną. Najbardziej zaniepokojeni byli Wojtyński, Marcei, Hilger i Mickiewicz Piotr. Do nich doszłusław Debczyński a potem Suski.

Lekarz weterynarii, którego wezwano do niedawno oprosionej maciory, stwierdził u niej zapalenie macicy. Przyczyna były niehigieniczne warunki w czasie porodu. Dziecię prosił zdechło. Komisjoniem stwierdzono, że 26 warchlaków, które zakupiono przed trzema miesiącami o wadze do 50 kg każdy — waży dziś o 10 kg każdy mniej mimo, że chlewniistrz Mickiewicz Anna pobierała dla nich z magazynu

zależności mleko i odżywkę. Za to jej świnię przedstawiali się okazałe.

Zarastaly chwastem buraki cukrowe, w kartoflach bujnie peleniła się lebioda. Krowy Leona Mickiewicza pasły się na buraczanym polu. Leon po pijanemu mówił.

— No, co? Nie mówiłem, że się to rozklei? Nie dla nas te nowości. W jesieni będziemy szukać swoich broni, pigłów i koni.

Hilger próbował na własną rękę opamiętać Gajewskiego i pogodzić go z żoną.

Pijany przewodniczący Zespołu miał tylko jedną odpowiedź: — Idź! Idź, bo cię kopnę! Ja rządę w spółdzielni, a ty masz robić i słuchać.

— Do partii pójde.

— Idź, byku! Nie widzieli cię tam jeszcze!

zależności mleko i odżywkę. Za to jej świnię przedstawiali się okazałe.

Zarastaly chwastem buraki cukrowe, w kartoflach bujnie peleniła się lebioda. Krowy Leona Mickiewicza pasły się na buraczanym polu. Leon po pijanemu mówił.

— No, co? Nie mówiłem, że się to rozklei? Nie dla nas te nowości. W jesieni będziemy szukać swoich broni, pigłów i koni.

Hilger próbował na własną rękę opamiętać Gajewskiego i pogodzić go z żoną.

Pijany przewodniczący Zespołu miał tylko jedną odpowiedź: — Idź! Idź, bo cię kopnę! Ja rządę w spółdzielni, a ty masz robić i słuchać.

— Do partii pójde.

— Idź, byku! Nie widzieli cię tam jeszcze!

Gorzej było, gdy interweniował Suski: Gajewski po prostu go pobili. W Komitecie partii i w Prezydium P.R.N. składali fałszywe sprawozdania i raporty.

— Ogólne zebranie członków Zespołu, do którego się odwołali, nie powzielo żadnej uchwały. Gajewski i Mickiewicz Leon kazali pod pretekstem konieczności zabić sześć krów, a mięso rozdzielili między członków. Za pieniądze otrzymane ze sprzedaży słomy indywidualnym chłopom kupili wódkę i pojedynczo częstowali swoich zwolenników.

Komisja Rewizyjna pod wpływem Songina, który należał do paczki Gajewskiego i Mickiewicza Leona nabrała wody w usta i uznała, że nie ma podstaw do zajęcia stanowiska.

Ale Mickiewicz Piotr i Wojtyński uzyskali tyle, że chlewni i nadzór nad hodowlą nierogacizny przekazano Wojtyńskiej Gabrieli. No bo cóż? Kto miał poprzeć Wojtyńskiego, dawnego bezrobotnego parobka wiejskiego? Kto liczył się w tej gromadzie średniaków z Mickiewiczem Piotrem, chłopem spod Wilna, który gorąco popierał spółdzielnię? Zresztą Gajewski niedopuszczał ludzi do głosu, beształ ich i mieszał z błotem. A uznanie w tym Zespole miał duże. Był inicjatorem

zależności mleko i odżywkę. Za to jej świnię przedstawiali się okazałe.

zależności mleko i odżywkę. Za to jej świnię przedstawiali się okazałe.

zależności mleko i odżywkę. Za to jej świnię przedstawiali się okazałe.

zależności mleko i odżywkę. Za to jej świnię przedstawiali się okazałe.

zależności mleko i odżywkę. Za to jej świnię przedstawiali się okazałe.

zależności mleko i odżywkę. Za to jej świnię przedstawiali się okazałe.

zależności mleko i odżywkę. Za to jej świnię przedstawiali się okazałe.

zależności mleko i odżywkę. Za to jej świnię przedstawiali się okazałe.

zależności mleko i odżywkę. Za to jej świnię przedstawiali się okazałe.

zależności mleko i odżywkę. Za to jej świnię przedstawiali się okazałe.

zależności mleko i odżywkę. Za to jej świnię przedstawiali się okazałe.

„A więc chodzi nie tylko o same kolchozy jako socjalistyczną formę organizacji, lecz przede wszystkim o to, jaką treść wlewa się w tę formę — chodzi przede wszystkim o to, KTO stoi na czele kolchozów i KTO nimi kieruje”. (Stalin)

Napisali o stosunkach w spółdzielni do Miejskiej Rady Narodowej w Szczawnie Zdroju i czekali na rezultaty. Prezydium MRN wezwało do złożenia wyjaśnień... Gajewskiego.

Nadeszły żniwa. W zespole, jak dawniej, rej wodzili: Mickiewicz Leon i Anna, Gajewski i Wilkowa. Zuchwałstwo Mickiewicza Leona jeszcze dalej poszło. Przestał zajmować się kontrolą pracy, albo przychodził do niej pijany jak Gajewski, a dniówki obrachunkowe wpisywał członkom według swego uznania. Oczywiście gorzej na tym wychodzili: Wojtyński, Hilger i Mickiewicz Piotr. Nawet Suski i Debczyński odsunęli się od nich.

Akcja żniwna sła ciężko. Ludzie, zrażeni postępowaniem Gajewskiego i Leona, uchylali się od pracy. — Na pijaków nie będziemy robić — oświadcza. — Wydzielisz każdemu co należy i niech zwozi na własne podwórko.

Leon Mickiewicz powtarzał z przekasem: — A co? Nie mówiłem? Nie dorosli ludzie do komuny. Ja po rozliczeniu występuję ze spółdzielni.

Wśród chłopów wrzało. Wojtyński, Piotr Mickiewicz i Hilger zwijali się jak w ukropie. Debczyński i Suski zamysłali się ponuro, ale nie zajmowali żadnego stanowiska. Przyjeżdżały do pomocy ekipy łączności miasta ze wsią. Cóż, kiedy nie miał się nimi kto zająć. Leon Mickiewicz zniknął w takie dni. Robotnicy błakali się samotni po polach, albo zwiędali pobliski śliczny park zdrojowy. Zebrano z pól co się dało. Z opóźnieniem wprawdzie, z częściową wysypianym ziarnem, nie dbale, ale zebrano. Skoszono po raz drugi łąki. Wtedy Gajewski i Mickiewicz zakrzatnęli się:

— Urządzamy dożynki.

Zabito dwie świni i cielę. Leon przywiózł skrzynię wódki i parę skrzyń piwa. Do siana znowu nikt się nie kwapił. Na 150 ha ścierniska leżały grabki. Podorywek nie przeprowadzono. Susza była twarda, nieustępliwa, piekielna. Należało co przedzieć orać i to głęboko. Zamówić traktory. Gajewski z Leonem Mickiewiczem zapadli się jak pod ziemię. Ani z nimi pogadać, ani coś postanowić. Nie widać było i Wilkowej. Siano wołało o zwłokę, czas jesiennego siewu pilni niemiłosiernie. Chłopów aż ścisłało w żołądkach.

— Przepadać wszystko, w przyszłym roku będzie jeszcze gorzej.

Nikt nie miał wiadomości, co się stało z przewodniczącym i z Leonem Mickiewiczem. Wreszcie Marcinia i Miętuś wybrali się na poszukiwanie. Od domu do domu. Od stodoły do stodoły. Tak doszli do domu Leona Mickiewicza.

Był zamknięty. Na pukanie i wołanie nikt nie odpowiadał. Wyważono więc drzwi. W mieszkaniu odbywała się libacja. Brali w niej udział: Gajewski, Mickiewicz i Wilkowa.

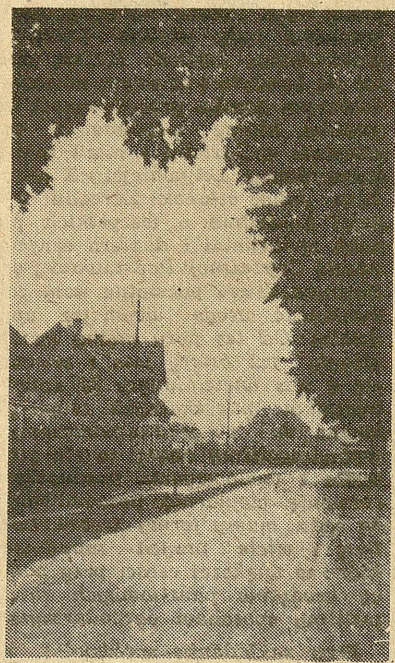
Napisano doniesienie i Wojtyński pojechał z nim do Wojewódzkiego Komitetu Partii we Wrocławiu. Oskarżenie skierowano przede wszystkim pod adresem Leona Mickiewicza i Gajewskiego. Z pasją zaatakowano złego ducha Zespołu — Leona. Jego dom był gniazdem zbrodni, dywersji i świadomego sabotażu. On dążył do likwidacji Zespołu. Lamanie sobie głowy dlaczego, do spółdzielni przystąpił dobrowolnie, nawet agitował początkowo. Co się stało? Bo Gajewski to akoloholik, ale Mickiewicz Leon? Wrócił z Niemiec z obozu. Był jednym z pierwszych osadników w Szczawnie Zdroju. Zagadka była frajpująca.

Prokuratura zbadała wszystko. Leon Mickiewicz mieszkał przed wojną w Powarach pow. Lida, gdzie posiadał folwark 80-hektarowy. Ludziom wyjaśniło się w głowach od razu. Gajewski i Mickiewicz zostali aresztowani.

312 ha to szmat ziemi. Wymaga planowej i systematycznej uprawy. Alkoholik Gajewski i obszarnik Mickiewicz zadali straszliwy cios Zespołowi. Zadało się, że runie. Dniówka obrachunkowa w wyniku ich działalności wyniosła w roku 1951 zamiast spodziewanych 20 zł, tylko 5 zł. Członkowie popadli w zadłużenie, ale głów nie potracili. Wybrano nowy zarząd z Filipowskim Władysławem na czele. Wzmocniono dyscyplinę pracy, opracowano plan podniesienia gospodarczego spółdzielni i ze zdwojoną energią przystąpiono do roboty. W roku 1952 wartość żywego inwentarza wzrosła w porównaniu z 1951 rokiem o 89.689 zł. Zespół posiadał w końcu 1952 roku 86 szt. bydła rogatego dobrej jakości (w roku 1951 — 51) 112 szt. nierogacizny, (52 szt. w 1951 roku), 22 konie i 475 szt. kur. Pod dozorem Wojtyńskiej Gabrieli hodowała świń prowadzona jest wzorowo, a sama Wojtyńska jest przewodniczką pracy. Dochód z udoju krów wyniósł 83.848 litrów mleka. Wydajność zbóż z hektara zasiewów była jednak stosunkowo niska. Były to właśnie fatalne skutki gospodarki Gajewskiego i Mickiewicza, którzy nie przeprowadzili orki jesienniej w 1951 roku. Mimo jednak takiej kleski dniówka obrachunkowa wyniosła za rok 19

KLEMENS OLEKSIK

Zwolen w powiecie kozienickim..?



Taki obraz przechowałem w pamięci jeszcze z 45. i 46 r. Kiedy więc po siedmiu latach wpadłem w tych dniach do Zwolenia, zaskoczyły mnie zmiany, jakie tu zaszły.

Rynek, jak rynek, ale co w rynku? Po restauracjach ani śladu. Jest gospoda ludowa. Jedna, okazała — ogniwo wielkiej panoramy handlowej GS-u. Bo liczymy, idąc kolejno: magazyny spożywcze (3), skórzany, żelazny, tekstylny, naczyni, masarni, plekarni; magazyny skupu zboża. Widzisz dalej pocztę, aptekę — uspołecznioną. Drogerie jeszcze prywatne, widzisz Ośrodek Zdrowia, są lekarz i weterynarz, biblioteka (3.000 tomów), świetlica. Są spółdzielnie pracy: krawiecka, szewska, stolarska. Wybudowano tartak i... szkołę ogólnokształcącą obok utrwalonej i podniesionej Szkoły Rolniczej.

*

Uczy się w ogólnokształcącej przeszło 300 młodzieży ze Zwolenia i okolicznych wsi: Jasienka, Kazanowa, Grabowa, Zielonki, Zająz, Strykowice... Jakże mnie ten fakt wzruszył! Łatwo przecież mogę sobie przypominąć, kto się uczył przed wojną. Z Zielonki jeden — na kleryka, również jeden ze Strykowic, trzech z Górne, pod Zielonką i Zagajnik. Osada leżała na dawnych grzezwiskach, co z kolei powiększało jej stan posiadania o bagna i zatopione łaki. A kiedy ten mozołkowy szlak grzezwisk połączył z polami uprawnymi, które wiek czasu posiekał na skrawki i rozrzucał własność każdego obywatela na kilkunastu kawalkach wokół osady, wówczas zrozumiecie stałe krążenie mieszkańców we wszystkich stronach. Zrozumiecie te nadęte określenia: *przedmieście Praga, przedmieście Berczyna itd.* Wskazywały one kierunek, określały skupiska mizeraków, którzy mający osadę w cztery strony świata, codziennie na rynku i po kątach rozciągających się od rynku uliczkach, oglądali wieniec kamieniczek, sztydów i straganów, widoczny znak miasta nobilitującego tych mizeraków na *miasteczku* w obliczu sąsiadów Zielonki, Zagajnika i Strykowic.

*

Piszę o Zwoleniu. W starych kronikach można wyczytać, że Zwolen w powiecie kozienickim słynął z garbarni i jarmarków. Odkąd ja pamiętam garbarni już nie było. Odbywały się natomiast jarmarki. To więc, co ze Zwolenia czyniło miasto, co rzucało niejaki blask omdlenności i wyższości na mizeraków morgowych i wyrobników Zwolenia — spoczywało w rękach „arystokracji handlowej”. W każdy czwartek odbywały się tu jarmarki, na które jeżdżono pół powiatu. Stale miejsca w rynku zajmowały kramy z dewocjonaliami, budki szewskie, krawieckie i masarskie. Na targowicy bydłowej, koło „stodoły różniewiczowej” sprzedawano i kupowano bydło. Dla bywalców jarmarcznych otwierano szynki i szyneczki, z których powstawały miasteczkowe fortuny. Obok nich cała sfera zawodowych pośredników, naganaczy, pobierających „porekawicze” od utargu. Byli to mistrzowie w swoim fachu i dyktatorzy. Ustawiali ceny, rządzyli rynkiem. Chłop musiał ich opłacać w najpróżniejszy sposób, często wypijać „litkup” z tym nawet, który przyczynił się do obniżenia ceny na krowę, którą chłop przywiódł na sprzedaż. Z tych tłuszczyków o byczych karkach i czerwonej gbie rekrutowała się warstwa „obywateli”, posiadaczy kamieniczek i kilkunastomorgowych gospodarstw.

Pamiętam w rynku i przy kuli uliczkach było 15 restauracji, chyba z 18 sklepików towarów mieszańskich, 6 sklepów z obuwiem, w tym 3 nakładów, do których dostawiali chałupnicy i trzy warsztaty szewskie pod sztydłem, 5 fryzjerni, apteka prywatna, dwie drogerie, cztery sklepy tekstylne, 3 stolarnie z głównym produktem — trumnami, 5 piekarni i jeden sklep żelazny.

Czytelnik z prowincji w lot pojmie funkcję tego bazaru. Czytelnikowi z dużych miast należy ją wyjaśnić.

Na kogo było obliczone aż 15 szynków? Na okolicę, na jarmarki z połowy powiatu. Na opjanie interesów przez handlarzy i naganaczy, na biednych, tracących i skotowanych chłopów, bo — na *fraszunek do brzy trunek*... 18 sklepików, to pozor obfitości towarów. Właśnie ta wielka liczba kramików wskazywała na drobnocność i ograniczoną plenię klientów chłopską. Na kozienickim gruncie kupcyżki nie mogli podrość do „magazynu”, albo „kolonialnego sklepu”. Konkurowali towarem w „naparstku”, w cichej znowie, która ich 18 sklepików zarzucała na chłopów jak sieć na ryby. Chłopu zostawał tylko wybór „oka”. Kupczykom — troska aby sieć była równo, a siećta głęboko w teren. Jeden sklep żelazny (tzn. rolniczy), oraz trzy trumienne (stolarnie) najwypowniej świadczyły o nędzy chłopów, o jego bezsilie technicznej w gospodarstwie, o wysokiej śmiertelności.

Ileż to wtedy marnowało się talentów! Przypominam sobie zdolnego portrecistę K. z przedmieścia Zwolenia (Pragi). Było ich w rodzinie pięćoro i tylko pięć mórg. O średniej szkole nie mógł marzyć. Nagle wyjechał do Warszawy. W Zwoleniu przepowiadano, że będzie z niego drugi Matejko, kiedy powrócił po kilku latach okazało się, że był kopistą u fotografa... aby żyć i zmarnować zdrowie. Albo drugi Bogdan G. U tego nawet ksiądz zamówił malowidło do kościoła. W miasteczku więc oglądano pód talentu i tyle... Gdyby wówczas było gimnazjum w Zwoleniu...

*

Powiadają mi — w tartaku, spółdzielniach: krawieckiej, stolarskiej i szewskiej, w GS-ie pracuje dziś około 100 osób. Inwestycje 6-letniego Planu takie jak fabryka samochodów w Starachowicach, nowa huta w Ostrowcu, Wierzbica i Chrzatkowo otaczają rejon kozienicki. Ze Zwolenia jeździ więc do pracy 150—200 osób. Odcinamy jeszcze dawnych restauratorów i porekawiczników, odcinamy pracujących w urzędach, szkołach i różnych innych ośrodkach — pozostanie jednak blisko połowa ludności, której biedę nie mógł oślonić dawniej sztyd miasteczka jarmarcznych. Oczywiście, nie będą to już wyrobnicy, jak mój ojciec. Nie mieliśmy ani ziemi, ani domu. Przez kilka lat mieszkaliśmy w czynszowych należącej do właściciela cegielni. Zimą matka zgarniała szron łopata, a my dzieci — wynosiliśmy go w koszu od kartofli. A inne chały na Pradze, za wyjątkiem trzech czy czterech kamieniczek bogaczy? Były ubożuchne, jak stajenki belemjeskie, pokazywane w jasełkach. Ta dawna nędza szukała i znalazła w nowej Polsce pracę. Ale co się dzieje z tymi 3—4 morgowymi obywatelami Zwolenia?

Jeszcze w 48 r. statystyka wykazywała, że kłopot w poznańskim zbierano przeciętnie z ha 14,7 q pszenicy — w kieleckim — 9,9 kiedy w szczecińskim ziemniaków 130 q, tu — 91.

Kilka godzin w rodzinnym miasteczku to bardzo niewiele dla

znalezienia odpowiedzi na tak ważne pytanie. Ale też tym się różni miasteczko od miasta, że w każdym spotkaniu, w każdej rozmowie dowiadujesz się o tym, co miasteczko określa jako *całość*, albo co najmniej jedną z jego stron. Spróbuj być taki mądry w wielkim mieście...

Otóż w Zwoleniu... człowieku nie wiesz? W 48 r. obchodziliśmy 30-lecie staran, procesów i petycji o komasację gruntów. Nareszcie stało się. Od pięciu lat gospodarki scalone. Elektryczność sam zobaczyłem. A co to razem znaczy?

Jaki Zwolen był, to był — opisałem czytelnikowi jego dawną arystokrację — ale jedno wysinał na rolnikach 3 — 4 morgowych, obywatelską dumę z posiadania domu. Jak była ziemia, życie całe budowało się... domek. Nie starczyło życia, następne pokolenie próbowało dokonać dzieła. Teraz jest światło, jest radio. Wzrosła więc wartość domu. A scalona gospodarka dała pierwszy krok do ulepszenia uprawy. Jakże wyniki w lizbach — nie podaję ich. Nie tylko z braku czasu, ale i z tej przyczyny, że...

...u bratowej, wdowy po bracie — Karolu (2 morgi) najmłodsza córka Jasia w dziewiętej klasie, Zosia już po szkole pielęgniarzkiej, pracuje w Radomiu. Szczepanek ukończył szkołę elektromonterską. U ciotki bratowej (3 morgi) syn, żonaty, też elektromonter. A ciotka dzierżawi pole swemu bratu (ten ma 4 morgi) i żyje sobie widać dobrze, skoro ma czas na politykę rodzinną. Cały zaś sens tej polityki sprowadza się do „grymaszenia”. Oto Szczepanek, który elektromonterkę ukończył w ubiegłym roku, otrzymał od razu ofertę do Warszawy, wówczas ciotka do bratowej — za *wielkie miasto*, zgubi się. Przyszło zaproszenie ze Starachowic a potem z Łży, ciotka — *naprawdę to byłoby na miejscu*. Nastał w Zwoleniu w 52 r. POM, namawiano Szczepanka, ciotka — *gdzieś dla niego taka chłopska, ciężka robota*? Szczepanek wreszcie sam rozstrzygnął, akurat, kiedy przybył. Pokazał ciotce podpisaną umowę do... Ostrowca.

*

Wychodzę na miasto. Ten zwrot brzmiał właściwie tylko w miasteczku. Wychodzisz z domu i jesteś w mieście, masz je jak na dłoni. Do fryzjera. A fryzjer? Mój dawny kolega. Jego ojciec, stary S. pracował razem z moim ojcem w cegielni, też był wyrobnikiem. Zygmunt chwalił sobie a bardziej jeszcze chwalił swego brata, Roman jest już inżynierem, pracuje, bracie, w Starachowicach.

— Dokąd idziesz?
— Na miasto...
— Wpadnij do Rady Gminnej, niespodzianka...

Wpadłem najpierw do sklepu GS-u. Kierowniczką — dawną sąsiadką mojej matki, P. (2 morgi). Ma zmartwienie, córka chce iść na miedynę a tam zawsze przepełnienie.

Pod Gminną Radą Narodową spotkałem znów kolegę z lat dawnych, Piotra Grabowskiego, syna małego chłopca. Przed laty i on był na swój sposób sławny w Zwoleniu, choć nie miał jeszcze 18 lat. Ale ktoś nie zna w miasteczku pilkarza — Piotrusia, gola! Gola, Piotrusi! — darto się obywatelstwo i nie obywatelstwo na niedzielnych meczach.

Po wojnie Piotr został listonoszem.

Ucieszyliśmy się.
— Dokąd to walisz?
— Do Rady.
— Ja też.

A tam się pokazało, że Piotrusi to sam Przewodniczący Gminnej Rady Narodowej.

*

Czytałem w kieleckim „Słowie Ludu” o ożywionym rozwoju spółdzielni produkcyjnych. W 52 roku pięciokrotnie przyrost. Do najbardziej opóźnionych powiatów należał jednak konecki, pińczowski i niestety kozienicki. Tam do licha. Trochę więcej pracy agitacyjnej. Bo sądząc po Zwoleniu ujemnie on już nie wpływa na okoliczne wsie, wprost przeciwnie, czyli, że jak by się bardziej działaczom chciało, to warunki są...

Klemens Oleksik

WLADYSŁAW MISIUNA

Obrachunki poznańskie

Odwiedziłem w styczniu kilka naście spółdzielni produkcyjnych w woj. poznańskim. W analizie rocznych bilansów, produkcja ukazuje stały wzrost w spółdzielniach, które mają już za sobą 2 — 3 lata gospodarki. Oto, tytułem przykładu, trzy średnie spółdzielnie.

1. Sady (pow. Poznań)				
z ha	1950	1951	1952	
żyto	17 q	20 q	22,5 q	
pszenica ozima	8 „	12 „	21 „	
pszenica jara	19 „	20 „	24 „	
jęczmień	20 „	20 „	21 „	
owies	19 „	27 „	28 „	

2. Śliwno (pow. Nowy Tomys)				
z ha	1950	1951	1952	
żyto	17 q	19,9 q	22 q	
pszenica ozima	20 „	18 „	23 „	
jęczmień jary	25 „	29,2 „	30 „	
owies	21 „	16 „	35 „	

3. Wojnowo (pow. Oborniki)				
z ha	1950	1951	1952	
żyto	14 q	16 q	18 q	
pszenica ozima	11,2 „	16 „	20 „	
jęczmień	10,1 „	16 „	20 „	
owies	15 „	16 „	25 „	

„W rzeczy samej” — mówił Stalin na pierwszym Zjeździe Kołchozników — *setki lat żyli ludzie odwiecznym zwyczajem, szli starą drogą, giel kark przed kuliakiem, obszarzaniem, przed lichwiarzem i spekulantem. Nie można powiedzieć, żeby chłop chwalił sobie tę starą, kapitalistyczną drogę. Ale ta stara droga była to droga utorowana, a zwykła i nikt jeszcze nie dozwodził, czynnem, że można żyć jakoś inaczej, lepiej”.*

Spółdzielcy i spółdzielnie w ciągu trzech lat nagromadziły u nas w Polsce wymowne już dowody na to, że można żyć jakoś inaczej, lepiej”.

Przykłady przeze mnie podane stanowią jeden z najważniejszych dowodów. Stały, coroczny wzrost pól o 2, 0, 3, 0, 4 q z ha. I to taki wzrost, który przesłoniłby czytelnikowi *posuchę 1951 r.* Nie widać jej w bilansach, nie zakłóca rytmu i tempa rozwojowego. A ilu indywidualnych nabieżyło się, aby ratować swoje zbiory? I jakże często na próżno?

Województwo poznańskie w rozwoju spółdzielczości produkcyjnej nie stoi, jak wiadomo, na lichym miejscu. Skupia jedną dziesiątą spółdzielni całego kraju (1952 r. — 516, styczeń 1953 — 530). Skupia jedną dziesiątą gospodarstw (10.306, członków — 13.562).

Przeważa w nim III typ spółdzielni. Wymienione spółdzielnie Sady, Śliwno, Wojnowo należą do tego właśnie typu. Czy to coś mówi? Wydaje mi się, że bardzo wiele.

W 1949 r. spółdzielni niższych typów było tyle samo co trzeciego typu, najwyższego (25 na 25).

W 1950 r. I — 29, II — 115, tzn. razem 144 na 121 trzeciego typu.

W 1951 r. I — 31, I-b — 27, II — 119, tzn. razem 117 na 179 trzeciego.

W 1952 r. zachodzą dwa ciekawe zjawiska.
1) Typy niższe I i I-b nie maleją, nawet poważnie rosną jak I-b z 27 na 62.
2) Natomiast typ II zmalał, ze 119 (1951 r.) na 99. Co to znaczy? Po dwóch latach gospodarki część spółdzielni przyjęła statut najwyższego typu. A równocześnie wiele

nowo powstających spółdzielni odrazu zorganizowało się w Rolniczy Zespół Spółdzielczy.

I toteż w 1952 r. niższe typy obejmują 192 spółdzielnie, najwyższy — 324.

W tej tendencji widać jak olbrzymią rolę odegrały cztery lata istnienia i rozwoju spółdzielczości w naszym kraju. Najpełniejsza i najbardziej owocna praca Rolniczych Zespołów Spółdzielczych wyraźnie już przyciąga. Przykład olbrzymich osiągnięć spółdzielni, właśnie trzeciego typu, osmiela mało i średnioludnych do sięgania odrazu po najwyższy statut.

Ale ta tendencja, która dowodzi, jak odważnie chcą chłopcy „żyć jakoś inaczej, lepiej”, odzwierciedla się również w niemięjszą siłą również w rozwoju spółdzielni niższych typów. Bo w uznaniu dla sukcesów gospodarczych i dla „społeczności spółdzielczej”, czym zadziwiają mogą Rolnicze Zespoły III typu, widzieć trzeba przede wszystkim bodziec do przyciągania chłopów mało i średnioludnych do socjalizmu. Impuls ten, w zależności od konkretnych warunków, może przybliżyć chłopów w niejednakowym stopniu. Ale każdy stopień, każdy tu krok naprzód jest ważny. Właśnie dlatego, że chłop opuszcza starą drogę, drogę utorowaną trzeba brać czujnie i troskliwie pod uwagę jego osobiste zainteresowania i przyzwyczajenia. Przyrost więc w 1952 r. spółdzielni poznańskich typu I-b (z 27 na 62) jest objawem zdrowym, dowodzącym coraz większej atrakcyjności na wszy kolektywnych form pracy. Natomiast zmniejszenie się (w porównaniu z r. 1951) spółdzielni II typu, nawet kiedy uwzględnimy przejście na III typ dojrzałych do tego kroku — stawia przed działaczami zadanie bardzo wnikliwego rozeznania terenu, aby w wyniku nie byłyby przeoczone i niedocenione chęci i możliwości chłopów, jakie kwalifikują ich na zorganizowanie spółdzielni niższych typów.

*

Kiedy się już zaczęło „żyć jakoś inaczej, lepiej” i wtedy jeszcze trzeba czyniłoś zwracać w dwie strony: na wroga klasowego i na to wszystko, co w młodych spółdzielniach może nawracać z czasów kiedy „szli starą drogą, giel kark przed kuliakiem, obszarzaniem, przed lichwiarzem i spekulantem”.

Taki fragmentaryczny przejaw nawrotu na starą drogę mogłem zaobserwować w spółdzielni Łusówka (pow. Poznań). Późną jesienią spółdzielcy byli dobrej myśli. Dniówka obrachunkowa zapowiadała się wysoka. Oglądałem wspaniałą świetlicę, do której chcą sprowadzić specjaliste świetlicowe. Bo obok biblioteki i czytelnictwa rozwinięły życie artystyczne i kulturalne. Mają zespół orkiestrowy (zakupione instrumenty), mają chór młodzieżowy, mieszany i dwa chóry dziecięce, w przedszkolu mają żłobek wzorowy i... mimo to nie przepałem w księgach i wywiadach *plamki* na sumieniu i dochodzie spółdzielni.

Otrzymałem, że buraków kukurkanych nie wykopały we właściwym czasie, strata wyniosła około 50 tys. złotych. Jak do tego doszło? Za-

brakło rąk do pełnego zakończenia zbioru buraków, bo ta nieodowna część rąk znalazła sobie pracę w Łusowie, sąsiedniej wsi w „pomocy sąsiedzkiej” u... kuliaków. A w spółdzielni przeważa przedwojenna biedota, która wówczas dobiła się o pracę u obszarzaka Plucnińskiego lub u kuliaków z Łusowej.

W tamtych dziejach nie brakło kradzieży z nędzy. W tamtych dziejach obszarzark radziejskiej zatrudniał, kuliak (było ich sporo) — częściej. W tym usłoku jesiennym do kuliaków zmieszali się różne sprzeczności dawnej, starej drogi. I to, że kiedyś „giel kark przed kuliakiem”, choć „nie można powiedzieć, żeby chwalili sobie tę starą, kapitalistyczną drogę” i to, że dawne kradzieże torowały drogę nawykowi do doręcznych, doręcznych zysków i to, że w obecnej sytuacji, kiedy kuliak zabiega o siłę najemną, wstyd dla podnającego się mniejszy, a płacę dyktuje. Wszystko to razem ujałam na zebraniu w pouczającej wy-mowej lizb.

Dniówek wypracowaliście już 25.000. Podzielcie przez nie 50.000 złotych a otrzymacie stratę 2 zł na każdej dniówce.

U kuliaka brałicie 40 zł na dzień, wypracowaliście maksymalnie... 10 dni, to znaczy 400 zł. Jeśli zaś przyjąć, że przeciętnie członek wyrobił 500 dniówek w roku, bo członkowi jest 50-ciu (25.000 dniówek: 50 = 500) to strata obciąża każdego przeciętnie na 1.000 zł (500 × 2 zł = 1.000 zł).

Jakie z tego wnioski?

Pierwszy — wasza chciwość na dorazny i jak wam się wydawało dodatkowy zarobek przyniosła wam stratę, oczywiście stratę.

Drugi — kilku członków, tak sobie postąpiwszy, naraziło na stratę 1.000 zł każdego z członków (50.000 złotych: 50 = 1.000 zł).

Trzeci — wróg klasowy z waszą pomocą wzmocnił swoje dochody i z „waszą pomocą” osłabił dochody spółdzielni. Praca na jego rzecz okazuje się zawsze działalnością niszczącą dla spółdzielczego życia. I dlatego trzeba rozumieć, co znaczy za-bieg kuliacki u spółdzielców o na-jem: zawsze łączą te zabiegi ro-zumienie umocnienie pozycji kapita-listycznej z osłabieniem socjali-stycznej.

Czwarty — kuliakom udało się narazić spółdzielnię na częściowe straty, na dezorganizację pracy, na pomniejszenie dochodu wszystkich członków, na zapoczątkowanie warunków dla fermentów wewnętrznych w spółdzielni. Bo przecież nie-dopatrzenie robot przez część (choć-by małą) spółdzielców i związane z tym obniżenie dochodów wszystkich członków, gdyby się raz i drugi powtórzyło, wywołałoby demobilizację wśród większości członków, a życie spółdzielni zatrułoby żalami, pretensjami, zniechęceniem i niewiarą.

Opisałem „wydarzenie”, którego spółdzielcy już wcześniej się wsty-dzieli, ale wstydem, jaki licząc na po-prawę w nowych pracach i przed-sięwzięciach, starał się „brzydkie wydarzenie” zbagatelizować i zatuszować. Dopiero rachunek, jakim

rozświetliłem „brzydkie wydarzenie” wywołał reakcję przełomową. Teraz wstyd wyposażony w pełną świadomość stopnia i charakteru popełnionego błędu, wstyd który spółdzielcom ukazał doniosłość perspektywy ich drogi i zagrożenia tej perspektywy przez „wydarzenia” takiego rodzaju — dał pełną mobilizację całego zespołu.

W styczniu na zebraniu bilansowym mialem niemałą satysfakcję. W planach na rok 53 (przy pokryciu inwestycyjno-budżetowym) widniały takie pozycje, jak:

— rozszerzenie sadu (Poznań pod bokiem),
— rozbudowanie kurnika (z 600 kur na 2.000),
— rozbudowanie chlewni.

Spółdzielcy wyciągnęli wnioski z jesiennej lekcji. Kulacy grając na wszystkim, co ciągnęło się „z owiecznego zwyczaju” nie wylało jeszcze u niektórych spółdzielców, chcieli nie tylko niszczyć, jak kornik, spółdzielnię, nie tylko za jednym zamachem powiększać swoje dochody — oni przeciwie do wszystkich czynili pod **Poznań**. Tam obiecywali sobie po raz drugi powiększyć dochody paskarskim obrotem. Tam mieli uderzyć z kolei w robotników. A cała ta akcja zaczynała się z dwóch punktów wyjścia. Jednego, że byli kulacy, z dużą gospodarką, o dużej towarowości. I z drugiego, że — o groźno — znaleźli się spółdzielcy, którzy pomogli kuliackiej zaradzie bogacić się przez wysysk i kapitalistyczną rujnąję światła pracy: spółdzielców i robotników.

Po Ustawie z 3 stycznia spółdzielcy z Łusówką postanowili wyjść na rynek poznański, dokąd chadzali dotąd kuliacy. Wyprzeć go tam, gdzie na produkty rolne czeka robotnik, czeka wielkie miasto. Owoce, drób, żywiec, to artykuły codziennie w Poznaniu potrzebne i oczekiwane.

Łusówka powiększy swą dochodowość, wygra gospodarczo warunki swego położenia (blisko Poznań) a równocześnie wnieśli na rynek nową zasadę handlową, w której umocni się spójnia ekonomiczna między wsią i miastem, umocni so-lusz robotniczo — chłopski.

Władysław Misiuna

Kronika radziecka

TEMAT ŻOŁNIERSKI

I DROWY charakter Armii Czerwonej określił Stalin w swym słynnym przemówieniu wygłoszonym dnia 25 lutego 1928 r. na uroczystym plenum Rady Moskiewskiej. Stalin wywodził wtedy trzy podstawowe cechy Armii Czerwonej, to, że jest obywatelską, zwolonych robotników i chłopów, armia dyktatury proletariatu, że jest „armia braterstwa między narodami w naszym kraju”, że kształtuje i umacnia „ducha międzynarodowego”.

Te cechy pozwoliły Armii Czerwonej odegrać tak wielką rolę w historii: okiełbanie ich zaś doprowadziło pisarstwo do jak najszerszej, najbogatszej charakterystyki żołnierza. Temat żołnierski wszedł na stronie książek z całym łopacem przezycie, z osobną historią walczących o wolność ludu. Ścisłe zespolenie armii z ludem sprawiło, że głos żołnierza był zarazem głosem robotnika i chłopca. Na stronach powieści rozbrzmiewał tonem narodowej epopei.

Gdy hitlerowski agresor najeżdżał radzieckie wsie i miasta, około osiemset pisarzy poszło na front, walcząc w pierwszych szeregach 242 pisarzy już nie wróciło do domów, a wśród nich tak znakomici jak Krymow, Pietrow, Gajdar.

Bezpośredni udział w zmaganiach z faszystami pozwolił literaturze radzieckiej odegrać doniosłą rolę patriotyczną. Od pierwszych chwil trzeba było wesprzeć walczące ramię. Zaszła potrzeba — jak w okresie wojny domowej — użytkowania tych gatunków twórczości, które bezpośrednio i szybko odzwierciedlały przeżycia, oddziaływały i budziły do walki. Wzięcie plakat z politycznym tekstem, liryka, krótkie opowiadanie, trafny artykuł publicystyczny, szkic dokumentalny...

Pisarz radziecki obserwuje pola walki i pobojowiska, samemu bierze udział w dziełach żołnierza, obserwuje i opisuje zbiorowe oraz jednostkowe przeżycia tego bohaterstwa. Ujawnia ideowość walki po stronie radzieckiej, miłość radzieckiej ojczyzny i niespożyty heroiczny patriotyzm. Jednocześnie pisarz radziecki demaskuje zwierzęce oblicze faszystów. Obnaża i potępia ogrom faszystowskiej zbrodni. Wykłada ze tylko poprzez walkę do ostatniej kropli krwi można pokonać faszystów i że tylko ta droga może ocalić ludzkość.

Bujnie rozwija się liryka. M. Tichonow, K. Simonow, A. Twardowski, A. Surkow, P. Antokolski, A. Bezmyślni i inni wyrażają przeżycia radzieckiego obywatela walczącego z faszystami. K. Simonow tworzy głośny wiersz pt. „Czekaj na mnie”, który obiega wszystkie fronty i stale się wyraża wiarę żołnierską i zwycięstwa nad faszystami. Trochę więcej pracy agitacyjnej. Bo sądząc po Zwoleniu ujemnie on już nie wpływa na okoliczne wsie, wprost przeciwnie, czyli, że jak by się bardziej działaczom chciało, to warunki są...

Klemens Oleksik

Obronę Stalingradu i dokonany wielki przełom opisują: K. Simonow w „Dniach i nocach”, W. Niekorski — „W okopach Stalingradu”, W. Grossman w „Szkiełach ze Stalingradu” i inni. Nieugięty opór pod okupacją stanowi treść „Młodej gwiazdy”, Radiewa, „Niejazmionych”, B. Gorbata, „Ludzie o czystym sumieniu”, Werszynow. O udział w kolchozizacji w wojnie piszą: A. Gonczar („Chorazowie”), Kazakiewicz („Gwiazda”). Heroizmy żołnierzy poświęcone są utworowi „Owoc” — powieści „Przedwiośnie”, B. Polewoja „Słowa”, „Słowa wołają”, A. Beka „Słowa wołają”, W. Grossmana „Naród jest nieśmiertelny”, I. Erenburga „Burza”. W zakresie „dramat” najcenniejsze dzieła datu: A. Korniejczuk („Przeżycie”, S. Szynow („Rosjanie”), L. Leonow („Najazd”).

Literatura radziecka przekazała ludzkości nowy rodzaj patriotyzmu, wyzbył się zupełnie cech szowinistycznych i ukazała walczącego człowieka jako część twórczego, socjalistycznego kolektywu. Wielka Wojna Ojczyźnawska dała nam najlepsze cechy ludzi radzieckich, wychowanych przez partię bolszewicką: patriotyzm, zdolność do poświęceń, bohaterstwo, nieugiętość, odwagę, międzynarodowy i braterstwo, miłość i przywiązanie do Stalina.

Ludność cywilna zasiała partyzantkę oddziałami. Takie powieści jak „Notatnik partyzanta” (W. Ignatiew), „Ludzie o czystym sumieniu” (P. Werszynow), „Podziemny Komitet Obwodowy działa” („I. Fiedorowa), ukazują masę ludową w walce z hitlerystami.

Droga zwycięstwa zaprowadziła do Berlina. A. Gonczar w powieści „Złota Praha”, E. Kazakiewicz „Wiosna nad Odrą”, wreszcie I. Erenburg w „Burzy” ukazują żołnierzy radzieckich jako zwycięzców i chorążych sprawiedliwości społecznej. Ci żołnierze niosą uciemiężonemu narodowi wyzwolenie spod jarzma hitlerowskiego, rozbijając wielowiekowe okowy ucisku feudalnego i kapitalistycznego. Na ziemię wyzwoloną przychodzi jako nosiciele wyższej sprawiedliwości. W powieści Gonczara „Burza” i powieści Choma Chajacki prowadzi długie rozmowy z Rumunami, Węgrami, Czechosłowakami. Uczy ich, jak należy budować nowe życie. Błędem jest twierdzenie, że porządku będą panować na ziemi dla wyzwolenia której przelewał swą krew. Tak też myślał inni żołnierze: ich zwycięstwo to zwycięstwo ludu, triumf pokoju.

„Nasza republika — powiedział Erenburg — zrodziła się z słowami: pokój światu. Słowa te pozostały jej zawołaniem”.

Dobiegła kresu wojna, ale nie skończyła się rola bohaterów żołnierzy radzieckich. Walczą o pokój. To słowo przyniesli na ziemię wyzwoloną spod jarzma hitlerowskiego. Właśnie tego słowa wypełniały swym codziennym przykładem.

Dziesiątki tysięcy zdemobilizowanych żołnierzy radzieckich stale przy warsztatach pracy, odbudowują kraj wzorem pki. Woropajewa ze „Szczęścia”. Pawlenki. Wzobagaceni doświadczeniami Wojny Narodowej żołnierze bronią twórcę swego wielkiego zwycięstwa, pokoju — gotowi przeciwstawić się każdej próbie imperialistycznej agresji.

Grzegorz Timofiejew

